Nr. 15. Warszawa, d. 1 Sierpnia 1910 r. R. XII

# ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Swiat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

d. 1 sierpnia 1910 r.

WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA
KRÓLEWSKA 17, W WARSZAWIE.

P. P.

*Mamy zaszczyt zawiadomić naszych JW. i WW. odbiorców, że zawarłszy nowe kontrakty z dostawcami naszej firmy i poczyniwszy bardzo poważne zamówienia, osiągnęliśmy możność*

**znacznego obniżenia cen ładunków bezdymnych.**

*W sezonie bieżącym ceny tych ładunków w Składzie broni Warszawskiej Spółki Myśliwskiej (Królewska 17) obowiązują następujące:*

1) *Gatunek pierwszy: w gilzach Rusko-Belgijskich I-a, czerwonych, z firmą Spółki, z oryginalnym francuskim kapiszonem Gévelot, nabitych prochem „Sokół" i angielskim hart-śrótem . . . . . sto sztuk* **rb. 7 k. 25.**

2) *Gatunek drugi: w gilzach „Universal", ryskiej fabryki Sellier et Bollot z dużym kapiszonem, nabitych prochem „Sokół" i sosnowickim hart-śrótem, sto sztuk* **rb. 6 k. 50.**

*Nadmieniamy przytem, że nasze ładunki nabijane są prochem, ważonym na aptekarskich ważkach ręcznych, wszystkie bowiem dotychczas znane mechaniczne sposoby ważenia, najstaranniej w naszej kartuszeryi wypróbowane, nie nadają się do ważenia prochu „Sokół" i przy sprawdzeniu dają wahania od 0.02 do 0.2, co przy prochach bezdymnych jest niedopuszczalne.*

*Ładunki dymne pozostają w cenie od* **4 r. 50 k.** *za setkę.*

*Zagraniczne według cen katalogowych.*

*Z poważaniem*

Zarząd „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej".

C. K. UPRZYW. FABRYKA BRONI

# J. NOWOTNY

Praga, ulica Ferdynanda Nr. 38.

**POLECA:**

**słynne ze swej dobroci fuzye, biksflinty i trzechlufki.**

Szczególną uwagę WW. Panów Myśliwych zwraca się na dalekonośne flinty, borowane własnym sposobem, który daje fabryce możność poręczenia za doskonały rezultat strzału z odległości 60 metrów = 84½ arszynom.

Swiadectwa na przewóz fuzyi przez granicę dostarczać nie potrzeba, o takowe stara się firma sama.

**Cenniki wysyła się na żądanie „gratis i franco". ▭ Korespondencya w języku polskim.**

28-24-1.


## KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W sierpniu wolno polować na dziki, łosie (byki), sarny (rogacze) głuszce (koguty) cietrzewie, (koguty), jarząbki, (koguty), oraz na wszelkie ptactwo przelotne, a od d. 1 (14) sierpnia i na jelenie (byki), zające, głuszce, cieciorki, jarząbki (kury), kuropatwy i dropie.

**Lunacya w sierpniu.**

Nów d. 5 o g. 6 m. 35 r.
Pierw. kw. d. 13 o g. 10 m. 34 r.

## Wschód i Zachód Słońca

w sierpniu.

| Dnia | Wschód | | Zachód | |
|---|---|---|---|---|
| | g. | m. | g. | m. |
| 1 | 4 | 21 | 7 | 50 |
| 2 | 4 | 23 | 7 | 49 |
| 3 | 4 | 24 | 7 | 47 |
| 4 | 4 | 26 | 7 | 45 |
| 5 | 4 | 27 | 7 | 44 |
| 6 | 4 | 28 | 7 | 42 |
| 7 | 4 | 30 | 7 | 40 |
| 8 | 4 | 32 | 7 | 38 |
| 9 | 4 | 34 | 7 | 36 |
| 10 | 4 | 35 | 7 | 34 |
| 11 | 4 | 37 | 7 | 30 |
| 12 | 4 | 39 | 7 | 28 |
| 13 | 4 | 40 | 7 | 26 |
| 14 | 4 | 42 | 7 | 24 |
| 15 | 4 | 43 | 7 | 22 |


Istnieje od 1854 r.

**ZAKŁAD**

wypychania zwierząt i ptaków

p. f.

**Antoni Łastowski**

*dawniej S. WYSOCKI*

pozostaje na dawnem miejscu t. j. na **Krakowskiem-Przedmieściu** Nr. 22.

**A. Łastowski** 3

Uczeń Delesalle'a w Paryżu.

**Wyżły-Gordony**

10-cio miesięczne w pierwszem polu. Cena za psa rb. 50, za sukę rb. 35;

**WYŻEŁ DŁUGOWŁOSY** (Spaniel, biały w czarne łaty) w 5-em polu. Cena 100 rb. Adres: **p. Końskie-Wielkie, gub. Radomska w Pile, Romuald Nowicki.** 39-1

**Strzelec** żonaty, dobrze układający wyżły, zaraz potrzebny na stałą posadę. Zgłosić się z rekomendacyami pod adresem: **Łódź, Rzeźnie miejskie, I. Stojanowski.** 38-1

**SKŁAD BRONI i SZTUCERÓW**

p. f. **„J. SOSNOWSKI"**

właśc. **C. LISOWSKI**

**Warszawa, Trębacka Nr. 9, tel. 47-47.**

Na sezon obecny nadeszły:

dubeltówki bezkurkowe fabryk — G. Defourny - Sevrin á Liége, Westley Richards Ltd., London

oraz dubeltówki

Manufacture Liégeoise á Liége, z lufami stalowemi „Cockerill" do prochu bezdymnego od Rub. **45.**

**Cenniki na żądanie.**

SKŁAD BRONI

**Stefana Bagińskiego**

**Warszawa, Długa Nr. 19.**

POLECA: wszelkie nowości w broni i przyborach myśliwskich. Gotowe łuski z czarnym prochem oraz z bezdymnym „Liszewa". Przyjmuje wszelkie reperacye broni. Zlecenia i obstalunki listowne wykonywa odwrotną pocztą.

**Cenniki illustrowane na żądanie gratis i franco.**

**Gordon Setter**

pełnej krwi szczenięta sprzedam.

**Lisowski, Rzeszów, Galicya.**

**Sprzedaje się charta** syberyjskiego (medal srebrny z ost. wyst. Warsz.) za Rb. 75.

**Nowogrodzka 27 m. 14.**

## DZIEŁA MYŚLIWSKIE

**wydane nakładem Redakcyi „Łowca Polskiego".**

**„Myślistwo z ogary"** przez *Jana hr. Ostroroga*, wojewodę Poznańskiego. Dwa wieki przetrwała ta praca, nie straciwszy nic na swojej świeżości i, jak ongi, tak i dziś może być czytana z największem zajęciem, tembardziej, że zawiera w sobie skarbnicę starej naszej gwary myśliwskiej. **75 kop.**

**„Kuropatwa szara, czyli pospolita".** Monografia, napisana przez *Juliana Biesiekierskiego*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Dzieło to, z licznemi illustracyami w tekscie, traktuje wyczerpująco hodowlę i ochronę tego ptaka, który jest stałym mieszkańcem pól naszych i jako taki, winien być dokładnie przez naszych myśliwych poznany. **80 kop.**

**„Pies zdrowy i chory"** przez d-ra *O Hilfreicha*. Popularny podręcznik dla posiadaczy psów, a zwłaszcza myśliwych, mający duże powodzenie w Niemczech, zawiera ważne wskazówki, jak obchodzić się z psem od najmłodszego szczenięcia, oraz przepisy i recepty na różne choroby i przypadłości naszych faworytów. Tekst objaśniają liczne rysunki. **1 rb. 20 kop.**

**„Sarna".** Monografia sarny, napisana przez *Wiktora Stephana*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Wyborna ta praca obznajmia dokładnie czytelnika z naturą, hodowlą i sposobem życia tej najpiękniejszej ozdoby naszych lasów, oraz z wszelkiemi sposobami polowania na sarny. **60 kop.**

**Wszystkie powyższe dzieła nabyć można w Kantorze Redakcyi „ŁOWCA POLSKIEGO" (Nowy-Świat Nr. 35) w Warszawie i w Magazynie Spółki Myśliwskiej (Królewska Nr. 17).**

# ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

**Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.**

Ogólnego zbioru Nr. 273.

**Nr. 15.** | Warszawa, d. 1 sierpnia 1910 r. | Rok XII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

NA BŁOTACH.

## O ciśnieniu gazów i pomiarach jego siły.

W jednem z niemieckich pism myśliwskich ukazał się w ostatnich czasach artykuł, wyjaśniający w dość wyczerpujący sposób kwestyę ciśnienia gazów i jego siły w lufie strzelby przy wystrzale. Jest to kwestya pierwszorzędnej wagi dla myśliwych, trafne bowiem rozwiązanie jej ze strony strzelającego w stosunku do używanej broni, wywiera, jak to każdy zrozumie, decydujący wpływ na rezultat strzałów, zatem na ogólną sumę osiąganych danym rodzajem broni łowieckich wyników. Dla pożytku naszych myśliwych streszczamy przeto poniżej wnioski, do jakich naukowa i wsparta doświadczeniem obserwacya, doszła w tej sprawie w Niemczech.

Nabój prochu, znajdujący się w dolnej części gilzy ładunku, zapala się w lufie strzelby przy strzale za pośrednictwem iskry, jaką daje uderzony sztyftem kapiszon. Proch ten spalając się w zamkniętej szczelnie przestrzeni, wytwarza wysoką temperaturę i znaczną ilość gazów silnie rozprężliwych, usiłujących rozszerzyć się we wszystkich kierunkach. Ta właśnie prężność tych gazów wywiera ciśnienie.

Ciśnienie to działa w kierunku prostym, zatem na przybitkę i nabój śrótu umieszczony w górnej części gilzy ładunku, następnie w kierunkach bocznych, zatem na ściany gilzy i pośrednio na ściany lufy, wreszcie w kierunku prostym wstecz, zatem na metalową osadę gilzy i znajdującą się dalej za nią ściankę zamku broni.

Zależy to ciśnienie od ilości wytwarzających się gazów i od ich temperatury Im łatwiej zatem proch się zapala i im szybciej rozwija się proces jego spalania się, tem większa wytwarza się w stosunku do przestrzeni tego procesu ilość gazów i tem większe osiągamy ciśnienie.

Z określenia tego wynika jasno, że ciśnienie to, występujące przy strzale, nie jest czynnikiem jednostajnej i jednakowej siły.

Wzrasta ono w miarę szybkości spalania się prochu w pierwszej cząstce czasu po jego zapaleniu się, a następnie słabnie, skoro siła jego działania, znalazłszy najsłabszy dla siebie punkt oporu w kierunku wylotu lufy, wypycha zeń nabój śrótu. Ciśnienie gazów jest więc największe w komorze ładunkowej strzelby i zmniejsza się w kierunku jej wylotu, z tego też powodu ściany luf są u wszystkich gatunków broni palnej najmocniejsze dokoła komory, w której spoczywa ładunek,

Wypadki pęknięcia lufy w tem miejscu należy też zawsze i wyłącznie przypisywać za wielkiej sile ciśnienia gazów prochowych i zbyt szybkiemu ich wytwarzaniu się, wszelkie zaś uszkodzenia broni w lufach powyżej komory ładunkowej powstają skutkiem przeszkód, jakie napotyka na drodze swej wypychany ciśnieniem gazów nabój, samo jednak ciśnienie gazów nigdy już tu nie działa ujemnie.

Szybkość spalania się danego gatunku prochu musi pozostawać w pewnym unormowanym stosunku do wagi i rodzaju pocisku, stanowiącego górną część naboju. Pociski, które skutkiem znaczniejszego ciężaru swego, jakości materyału, z którego są zrobione, i właściwości lufy, tylko przez silny nacisk gazów mogą być z lufy wypchnięte, jak np. kule w stalowych płaszczach wystrzeliwane z luf gwintowanych, wymagają naboju prochu, spalającego się wolniej, aby tym sposobem uniknąć zbyt silnego ciśnienia gazów.

Śrót natomiast wystrzelony z lufy gładkiej, wymaga prochu spalającego się dość szybko, aby osiągnąć wymagany stopień prędkiego wytwarzania się gazów bez zwiększenia ich ciśnienia nad miarę.

Z tego powodu do strzałów śrótowych można bez narażenia się na jakiekolwiek niebezpieczeństwo, używać gruboziarnistego prochu dla sztucerów i karabinów wojskowych, przyczem śrót traci tylko na szybkości lotu, jeżeli jednak do strzałów z broni kulowych jak np. sztucery, ekspressy, karabinki, używa się miałkiego prochu dla strzałów śrótowych, zwłaszcza zaś bezdymnego miałkiego, to zwykle broń ponosi pewną szkodę i ściany jej luf tracą wytrzymałość przy niepotrzebnie zwiększonem ciśnieniu na nie.

Im szybciej spala się jakiś gatunek prochu, tem rychlej osiąga się maximum ciśnienia gazów prochowych i tem bliżej od podstawy, czyli od osady gilzy ładunkowej wytwarza się ono. Dla oceny różnych gatunków prochu, obok szybkości, z jaką osiąga się maximum ciśnienia, drugą miarodajną wskazówką jest szybkość lotu, jaką posiada wystrzelony nabój u wylotu lufy. Ten proch należy za najlepszy uważać, który daje nabojowi, t. j. pociskowi, największą szybkość u wylotu lufy przy zużyciu najmniejszego ciśnienia.

Siłę tego ciśnienia oznaczaną w atmosferach (ciśnienie jednego kilograma na jeden centimetr kwadratowy) mierzy się za pomocą specyalnego instrumentu, który jednak maximum ciśnienia tylko w przybliżeniu oznacza.

Sporządzenie dokładnych instrumentów dla oznaczenia siły ciśnienia gazów prochowych jest rzeczą niezmiernie trudną, ze względu, że idzie tu o wymiar bardzo wysokich ciśnień. W zwykłych strzelbach myśliwskich dosię-

---

HENRYK RUDZKI.

# Z PAMIĘTNIKA.

*(Ciąg dalszy).*

W dzisiejszych czasach jeleń przedstawia najgrubszą zwierzynę w naszym kraju. I w dawnych czasach zaliczał się do pierwszorzędnej fauny łowieckiej, teraz zaś, gdy wszelki zwierz grubszy wyginął, gdy i sam jeleń w niewielu tylko miejscach spotkać się daje; mało jest myśliwych, którzy poszczycić się mogą strzałem do jelenia, a nie dopiero zabiciem tego pięknego zwierza. Niełatwo dostać na strzał i dzika, częściej jednak się słyszy o zabiciu tej zwierzyny, niż jelenia, który prócz ostrożności, z jaką się zachowuje w kniei, szczególniej przy nagance, utrudnia jeszcze zdobycie go nadzwyczajną wytrzymałością, na ciężkie nawet postrzały.

Gorąco marzyłem o spotkaniu z jeleniem, obiecywałem straży leśnej różne nagrody, byle mnie tylko do niego kto doprowadził. I czasem, parę razy do roku, można było widzieć ślad po lesie duży, rozłożysty, ze sprawcą zaś samym śladów tych, spotkać się nie było można.

Pewnego zimowego przedwieczoru, skończywszy rozwożenie koniczyny dla sarn, jeździłem po lesie bez celu.

Przejeżdżając koło niewielkiej polany przy dróżce, raptem dojrzałem dużą, żółtą plamę. Coś gorącego napełniło mi piersi i utrudniło oddech, jakby wkoło zabrakło mi powietrza. Na polance, w czerwonem świetle zachodzącego słońca, stał „On.“ Hardo zadarł łeb w górę i dźwigał z dumą na nim gałęziste rogi. Pod nimi, jakby upiększenie, z dwóch długich, drgających liści, strzygły uszy, ruchome, czuwające. Giętką, jak u łabędzia, szyją, poruszał głowę i bystrem wejrzeniem dużych, czarnych oczu, rozglądał się wkoło, cały w nerwowem napięciu, gotów każdej chwili rozciągnąć się w olbrzymim susie.

I zdało się, wszystko wkoło radowało mu się i śmiało; słońce jeszcze silniej zalewało powodzią światła polanę i jeszcze silniej pobudzało do blasku jasno-żółte pnie sosen.

Niby oczarowany tym ślicznym widokiem, siedziałem w sankach nieruchomo; konie, jak gdyby również odczuwały to piękno przyrody, stały nieruchomo, strzygąc zlekka uszami.

Wtem coś dziwnego, nieoczekiwanego zaszło w jeleniu; cały drgnął, podskoczył i jakoś bokiem szarpnął się ku tyłowi, zatrzymał się, wyciągnął i jeszcze uporczywiej

gają one 300—800, w broniach zaś kulowych i karabinach wojskowych 1200—1400 atmosfer.

Przy wymierzaniu siły ciśnienia gazów w broniach myśliwskich śrótowych o lufach gładkich zakłada się zamiast pocisku stempel długości lufy i strzela się bezpośrednio do ołowianego lub miedzianego wałka. Wgłębienie, jakie stempel w tym wałku zrobi, daje miarę siły ciśnienia gazów; w miejsce wałka można też używać sprężyny, podobnie jak u siłomierzów. Stopień jej zgniecenia przy wystrzale daje miarę ciśnienia.

Do wymiaru ciśnienia gazów w broniach o lufach gwintowanych do kul używa się następującego sposobu:

Lufę broni, w której mamy mierzyć ciśnienie gazów, bierze się w sznajdklubę stalową, specyalnie sporządzoną. Sznajdkluba ta ma w jednej ściance swojej ruchomy, w gumie twardej osadzony stempel tak, aby gazy pomiędzy ścianą stempla a ściankami sznajdkluby nie miały żadnego ujścia. Stempel ten w miejscu uprzednio wyborowanem w ścianie lufy styka się prostopadle z jej wenwętrzną powierzchnią, tak, że wierzchołek jego tworzy tej powierzchni cząstkę i skutkiem tego jest wystawiany, podobnie jak cała ściana lufy, na bezpośrednie ciśnienie gazów w chwili strzału. Drugi koniec tego stempla po za ścianą lufy dopasowany jest ściśle (ale nie zlutowany) do małego walca z metalu łatwo ściśliwego, jak np. ołów, który w przedłużeniu prostopadłego do lufy kierunku stempla jest za nim zamknięty w sznajdklubie gwintowaną śrubą, tak że poruszać się nie może. W chwili strzału ciśnienie gazów działa na główkę stempla w ścianie lufy, przenosi się po stemplu dalej, jako po części ruchomej i powoduje nacisk stempla na ów walec ze ściśliwego metalu, który, będąc zamknięty od góry, musi pod tem działaniem uledz pewnemu zgnieceniu, jak w prasie hydraulicznej. Otóż stopień tego zgniecenia, dający się łatwo ocenić cyfrą, wyraża miarę ciśnienia gazów.

Pomiary ciśnienia gazów przy różnych gatunkach prochu przedsiębierze się dla oceny siły ofenzywnej tych gatunków i dlatego są one interesujące dla myśliwych, dają im bowiem możność wyboru takiego gatunku, który do celów strzelniczych i rodzaju broni, t. j. siły opornej jej luf, najlepiej się nadaje.

Aby jednak z cyfr ciśnienia gazów, podawanych w cennikach prochu, osiągnąć właściwy pożytek, należy wiedzieć, w jakiem miejscu lufy ciśnienie to było mierzone. Im bliżej leży ono od punktu maximalnego ciśnienia, tem dokładniejszą jest cyfra pomiaru. Pomiary dokonywane w górnych częściach luf przedstawiają naturalnie o wiele niższą wartość od tych, które dokonano w ścianie komory ładunkowej. Przy broniach do kul, o lufach gwintowanych, mierzy się zazwyczaj ciśnienie gazów w dalszej części komory ładunkowej, przyczem należy przewiercić także i ściankę metalowej gilzy ładunku, tak, aby stempel mierniczy główką swoją dotykał bezpośrednio naboju prochowego. Przy broniach śrótowych mierzy się zazwyczaj ciśnienie gazów w miejscu, gdzie kończy się ładunek w lufie.

Im większą powierzchnię naturalnie przedstawia główka stempla mierniczego, na którą działa ciśnienie gazów, tem dokładniejszy jest pomiar. Przy pomiarach, dokonywanych u broni kulowych, walec, osadzony za stemplem i poddany ściśnięciu, powinien być zwykle z miedzi, przy broniach śrótowych wystarczy używać ołowianego. Miedź wykazuje zawsze dokładniejsze cyfry, niż ołów.

Ponieważ średnica stempla mierniczego i materyał ściśliwego walca mierniczego wpływają bezpośrednio na rezultat pomiaru, przeto jeżeli chodzi o porównanie cyfr ciśnienia gazów u różnych gatunków prochu, należy do pomiaru używać tylko jednego i tego samego aparatu. Temperatura i gęstość powietrza atmosferycznego wywiera także pewien wyraźny wpływ na spalanie się prochu w lufie, ponieważ zaś okoliczności te co dnia prawie się zmieniają, przeto ścisłość porównawczych rezultatów pomiarów będzie wtedy tylko dokładna, jeżeli osiągniemy ją przez pomiary, dokonywane nietylko jednym i tym samym aparatem, ale jednego i tego samego dnia, w tych samych atmosferycznych zatem warunkach.

Dlatego to przy cyfrach, wskazujących w cennikach siłę ciśnienia gazów różnych gatunków prochu, są także zazwyczaj notowane dane co do aparatu mierniczego i warunków pomiaru.

Naturalnie, dla oceny myśliwskiego, praktycznego pożytku jakiegoś gatunku prochu, nie wystarczają jeszcze cyfry, oznaczające siłę jego ciśnienia. Trzeba jeszcze zebrać dane o szybkości lotu pocisku, który ten proch wyrzuca, a także o celności i donośności tego pocisku, czy pocisków (śrótu).

Pomiary ciśnienia gazów prochowych podejmowane bywają zazwyczaj dla przekonania się, czy dany gatunek prochu jest odpowiedni dla danego rodzaju broni i ładunku (pocisku) i czy zwiększenie naboju prochowego w pewnych okolicznościach myśliwskiej potrzeby, nie naraża broni na niebezpieczeństwo pęknięcia ścian jej luf przy strzale.

Pomiary te ściśle dokonują się u nas właściwie tylko dla broni precyzyjnych, zatem do kul, oraz u broni wojskowych. Dla zwykłych myśliwskich strzelb śrótowych

---

wpatrzył się w konie niespokojnie, poruszył parę razy głową i podnosił nogi, uderzając niemi o ziemię — jakby wyzywał do boju, groził

Czas był najwyższy. Oprzytomniałem — naprowadziłem lufy na niego i strzał gruchnął, przerywając wspaniałą ciszę lasu. Wyskakuję z sanek i pędzę na trop. Jelenia nigdzie nie widać, lecz na śladzie troszkę szerści i kropelki farby; pędzę za nim — ślad się zmienił. Wpatruję się lepiej — idzie na trzech nogach, jedną widocznie wlecze strzaskaną. Brnę po głębokim śniegu, zapadając się po kolana, lecz i jeleniowi też nie łatwo było uciekać. Wpatrzony w trop, nie wiedziałem, co się dzieje wkoło, raptem odnoszę wrażenie, jakby drzewka w gąszczu się poruszyły. Co to? to jeleń wyskoczył z drągowiny i wlokąc lewą, przednią nogę, pomyka w głąb lasu. Strzelam — jeleń znika. Gonię z całych sił. Znów paręset kroków, znów to samo.. Rusza... już trochę bliżej, celuję uważnie, strzelam, i znów mi ginie. Pędzę znowu i wreszcie upatruję go w gąszczu. Stoi — łeb spuszczony; spogląda w moją stronę. Panuję nad sobą całą siłą. Skradam się cicho, z za drzewa podchodzę i na 50 kroków palę mu w kark.

Jeleń daje kilka susów, zatrzymuje się, chwieje i pada na kolana. Podbiegam, aby w razie potrzeby jeszcze strzelić, lecz już nie trzeba. Chwieje się chwilę, wreszcie ciężko zwala się na bok — już martwy. Z chwilą, gdy nie stało już obawy o postradanie tak wspaniałej zwierzyny, gdy minęło podniecenie, utrzymujące mnie w tej szalonej gonitwie, i mnie siły opuściły. Broń wypadła mi z ręki, sam zaś, w pół leżąc na jakimś krzaku, doczekałem się w tej pozycyi przyjazdu sanek, w pół żywy, bo prawie bez oddechu.

Jeleń okazał się bardzo pięknym czternastakiem. Pierwsza kula strzaskała mu łopatkę, troszkę za nizko, i przeszła przez płuca na wylot. Druga trafiła zaraz za łopatką i obtarłszy się prawie o serce, uwięzła pod skórą. Te rany nie przeszkadzały mu jeszcze iść ostro, aż ostatni strzał powalił go na miejscu.

W połowie marca, rano, po ponowie, donosi mi gajowy, że dziki są w lesie. Stałych dzików nie było, pojawiały się jednak często z lasów Mnichowa i zatrzymywały po dni parę. Owej zimy, szczególniej z powodu dużych śniegów, dziki często nas odwiedzały, będąc niedoścignionym szczytem marzeń okolicznych myśliwych. I w sąsiednich lasach urządzane były na nie polowania, jednak napróżno; psów odpowiednich niema, podejść się dziki nie dają; z naganki nic sobie nie robią; słowem, kpią z myśliwych najwidoczniej.

Wysłuchawszy relacyi gajowego, wyprawiłem go do lasu, sam zaś miałem zamiar nie pomnażać już bezowoc-

zwyczaju tego nie zaprowadzono i praktyka myśliwska opiera się w tym kierunku na ocenach przybliżonych, zaczerpniętych z doświadczenia.

# O strzelaniu do gołębi

podług

**kap. A. Money'a** *(Blue Rock).*

*(Ciąg dalszy).*

Przystępujemy teraz do kwestyi, bardzo często dyskutowanej, a mianowicie do kwestyi najodpowiedniejszego do strzelania gołębi ładunku. Muszę przedewszystkiem zastrzedz, jako ogólną zasadę, że nic z tego, co dotycze owego idealnego ładunku, nie może być stosowane w strzelaniu do zwierzyny. W samej rzeczy, żaden myśliwy nie zechciałby przynosić do domu zwierzynę tak zestrzelaną śrótami, że nie możnaby jej podać na stół; gdy, przeciwnie, jest to właśnie ideał, do którego się dąży w strzelaniu do gołębi, gdyż inaczej większość ptaków wymknęłaby się po za linię demarkacyjną.

Ładnek, używany do gołębi, nie podlega ograniczeniom przez reguły żadnego klubu, o ile dotycze prochu. Co zaś do śrótu, to nie może on być większy nad 36 gramów mniej więcej.

Należy więc do strzelca zadecydować: 1-o czy ma użyć ładunku prochu 36 gramów lub mniejszego; i 2-o jaki ładunek prochu da najlepsze rezultaty z wybranym przez niego ładunkiem śrótu.

Co się tycze pierwszej z tych dwóch kwestyj, zdaje się, że niema żadnej dobrej racyi, ażeby używać mniejszego ładunku, jak ten, na który pozwala regulamin; przeciwnie, wszystko mówi za tem, aby używać co do jednego ziarnka naboju maksymalnego, zarówno dlatego, aby otrzymać jak najobszerniejszą rozetę śmiertelną, jak i dla tego, żeby w niej mieć większą ilość śrócin, zdolnych ubezwładnić gołębia w jego ucieczce.

Lecz większość strzelców ma trzy argumenty, przemawiające za użyciem mniejszego ładunku, który oznacza się zwykle na 32 gramy.

Pierwszy z nich jest ten, że maksymalny ładunek 36 gramów nie przebywa przestrzeni z tą samą szybkością, co ładunek 32 gr. śrótu tej samej grubości, a zatem strzelec musi zakładać więcej i z bystrzejszym gołębiem ma mniejszą szansę zabicia.

Drugim argumentem jest wzgląd, że maksymalny ładunek powoduje silniejsze kopnięcie, i że przy wadliwem złożeniu się za pierwszym strzałem jest trudniej wziąć na cel przy drugim strzale, który jednocześnie staje się mniej skutecznym.

Trzeci wreszcie argument orzeka, że przy ładunku maksymalnym zewnętrzne śróty rozety posiadają mniejszą penetracyę, gdyż lecą z mniejszą szybkością, a w rzeczywistości są prawie nieużyteczne.

Wszystkie te racye są przyjęte bez żadnych zastrzeżeń przez ludzi bardzo doświadczonych i wytrawnych w najwyższym stopniu w tej materyi.

Istnieje jeszcze czwarty argument, który jednak nie zawsze bywa słusznym, a mianowicie, że niektóre bronie dają bardzo ubogą rozetę przy 36 gr. śrótu, gdy, przeciwnie, dają lepsze pokrycie przy 32 gr. Argument ten nie wytrzymuje krytyki dlatego, że są także bronie, które dają bardzo słabe pokrycie przy 32 gr., a przeciwnie, obfitszą rozetę przy 36 gr. śrótu.

Co do mnie, to przypuszczam, że kwestyę szybkości, zwłaszcza jeśli się jest pewnym otrzymania minimalnej szybkości około 900 stóp na sekundę, zrównoważy dostatecznie awantaż, wynikający z obszerniejszej rozety śmiertonośnej i z większej ilości śrócin zdolnych razić ptaka.

Trudniej jest zdecydować w kwestyi kopnięcia: istnieje wiele osób, dla których silne kopnięcie przy 36 gr. sprowadza fatalne skutki, gdyż ramię ich będzie obolałe, a drugi strzał stanie się trudniejszym. Takie osoby muszą się kontentować mniejszym ładunkiem. Lecz dla człowieka, który opiera strzelbę silnie o ramię, redukując tem samem kopnięcie do minimum, i który trzyma broń obydwoma rękami dość pewnie, aby się nie opóźnić ze swym drugim strzałem, według mego zdania, najlepszym ładunkiem jest 36 gr.

Muszę tu zaznaczyć, że trafiają się niekiedy strzelby, nie dające większego kopnięcia przy najsilniejszych ładunkach, jak przy najsłabszych, a jeśli jest różnica, to tak mała, że jej nie warto brać w rachubę. W innych wypadkach kopnięcie można usunąć, a przynajmniej znacznie zmniejszyć przez użycie miększej przybitki prochowej i bardzo cieńkiej przybitki śrótowej.

Istnieje jeszcze jeden argument i pragnąłbym, aby go powszechnie przyjęto, chociaż nie miałem dotychczas sposobności sprawdzić go, a mianowicie, że jeśli dajemy ładunek 36 gr. do cal. 12, otrzymujemy pokrycie słabsze, gdy, przeciwnie, przy 32 gramach, cały ładunek idzie kupą. Jeśli tak jest, a skłonny jestem wierzyć temu, byłby

---

nych wysiłków. Postanowienie racyonalne, lecz żyłka myśliwska na to nie pozwoliła; koło dziesiątej godziny, nie mogąc spokojnie patrzeć z okna na czarny pas lasu, ukrywający zwierza, siadam na konia, strzelbę na ramię i do lasu.

Zwołałem dwóch gajowych; jeden szedł tropem, drugi na koniu, po liniach leśnych miał dawać sygnały, gdyby dziki się wynosiły, ja zaś, o kilkadziesiąt kroków od tropu, przemykałem się widnemi miejscami, aby módz strzelać pomykającego z gąszczów zwierza. Ogromny, miękki śnieg utrudniał chodzenie, tłumiąc jednak kroki, dawał szansę podejścia. Wkrótce natrafiliśmy na świeżo opuszczone legowisko w mrówczym kopcu; dziki ruszyły z niego przed nami i postępują w głąb lasu. Trudna rada; puszczamy się za nimi, lecz bezowocnie; widać ze śladów, że w gąszczach zatrzymują się, dopuszczają nas blizko i galopem pomykają, ujrzeć się jednak nie pozwalają nawet z dalszej odległości. Po dwugodzinnem mordowaniu się po śniegu, postanawiam dać za wygranę i wyprzysiągłszy się, jak zwykle, dzików, wracać do domu ze zwykłym rezultatem, wtem gajowy na linii daje sygnał. Przybiegam — dwa dziki weszły w tak zwany klin. Sytuacya następująca: Klin, zarośnięty świerkowym gąszczem, graniczy z jednej strony z gołym, obcym lasem, z drugiej przylega pole od części lasu, z którego wyszły dziki, oddzielone dróżką leśną.

Próbuję innego sposobu. Gajowych posyłam dookoła, sam zaś stoję na tropie. Czekam — cisza; raptem szelest, tuż około mnie przebiega zając; znowu cicho; nagle trzask — pękła przedemną gdzieś gałązka — to już chyba nie zając; znów szelest w gąszczu — bliżej, aż nagle na drogę, w odległości 40 kroków, wypada ogromna, czarna masa. Mierzę momentalnie i walę. Równocześnie ze strzałem dzik staje, podnosi ryj w stronę dymu. Widzę białe kły wyraźnie, lecz nie czas było myśleć, czy zachować drugą kulę do obrony, gdyż, tuż za nim, wyskakuje druga sztuka i zasłania pierwszego na chwilę. Chwytam go na cel i ściągam cyngiel. Strzał gruchnął i wszystko znikło. Zakładam gorączkowo kulę i pędzę na strzał. Pierwszy, strzelony rozrywającą kulą „dumdum", zaznaczył strugą farby. Siadam więc na konia i za nim — kałuże krwi ciągną, aż w piętnastu krokach leży na czerwonem tle sfarbowanego śniegu, wyciągnięty i nieżywy.

*(C. d. n.).*

to dla ładunku 36 gr. nie awantaż, lecz, przeciwnie, okoliczność ujemna, bardzo poważna i bezsporna.

Co się tycze trzeciego argumentu, opartego na mniejszej penetracyi śrótów zewnętrznej rozety, to zdaje mi się, że jest on nie wiele wart, gdyż wiem z doświadczenia, że nie jest to regułą absolutną dla wszystkich broni, a nawet dla ich większości, i jeśli istnieje w samej rzeczy jakaś strata siły, to mimo niej śróty zewnętrzne mogą jeszcze doskonale zabijać, jeśli przy rażeniu ptaka znajdują się w większej ilości.

Teraz musimy omówić sprawę ilości prochu do ładunku. Mało kto z dobrych strzelców gołębiowych używa mniej jak 50 grains'ów prochu „E. C.", lub odpowiednią ilość innych prochów.Przytaczam tutaj proch „E. C.", gdyż jest on najwięcej w użyciu pomiędzy strzelcami gołębiowymi zarówno w Ameryce, jak i w Anglii. Najwięksi profesyoniści i amatorowie używają tego prochu w ilości, wspomnianej powyżej. Lecz przyznam, że jest to bardzeo ostry ładunek i mało kto jest w stanie wystrzelić dziennie 200 lub 300 naboi, w ten sposób nabitych.

Pomiędzy amatorami, o których tu napomknąłem, pp. Wock i Welch mają obaj rekord 98 gołębi zabitych na 100 strzelanych z odległości 30 metrów od klatek w ogrodzeniu mniej więcej 45-metrowem; Elliot zabił 100 na 100 w swym ostatnim match'u z Carver'em, a przy powtórnem strzelaniu nazajutrz zabił 99 na 100 strzelanych.

Z innej znów strony niektórzy sportsmeni otrzymują co dnia cudowne rezultaty z ładunkami 42-gramowymi tylko; rzeczy wprost zdumiewające robiono z tymi ładunkami.

Niegdyś twierdzono bez zastrzeżeń, że zwiększając ilość prochu, otrzymuje się rozetę coraz większą i strzały zdumiewające; doświadczenie jednak wykazało, że przy broniach nowoczesnych silniejsze ładunki prochu zgęszczają nabój srótu, dając rozety gęstsze i o mniejszym promieniu, aniżeli małe ładunki.

Sposób nabijania ładunków, oraz przybitki, mają tu niewątpliwie wpływ bardzo wielki; dlatego też podam tu w przyszłości niektóre rady, dotyczące nabijania ładunków; sądzę, że przydadzą się one nie jednemu..

Co się tycze szybkości, muszę nadmienić, że należy przyjmować z dobrodziejstwem inwentarza twierdzenie, jakoby silniejszy łodunek prochu dawał większą szybkość, aniżeli ładunek mniejszy i lepiej dostosowany do danej strzelby. W samej rzeczy, każda broń ma swój nabój „ulubiony"; jeśli go przesadzimy, wówczas dodatkowe ciśnienie gazów działa na boki i nie pcha naboju śrótu z większą siłą, ani też w stosunku do tego zwiększenia.

Kwestya szybkości jest pierwszorzędnego znaczenia we wszelkiego rodzaju strzelaniu, zwłaszcza zaś w strzelaniu do gołębi.

Mało kto ze sportsmenów rozumie, jak wielką jest różnica szybkości przy rozmaitych warunkach temperatury.

Wszyscy to wiedzą, że śrót zostaje wypchnięty z lufy przez gaz, uformowany wskutek spalenia się prochu. Wszystkie prochy, zarówno czarne, jak i białe, posiadają nietylko własność szybszego zapalania się, jeśli są nagrzane i jeśli magazyn, w którym się znajdują, jest gorący; ale nadto gazy, rozwijające się wtedy, są obfitsze i silniejsze przy tych warunkach. Dlatego zimą należy trzymać strzelbę i ładunki jak najcieplej. Ciepło ciała, udzielające się ładunkom, trzymanym w kieszeni, jest bardzo w tym razie użyteczne. Z drugiej znów strony, jeśli ładunki są wystawione na działanie słońca lub na wpływ ciepła z pieca, wówczas stają się nadzwyczaj silne, a co za tem idzie, szybkość i pokrycie ulegają zmianie.

Najnowsze doświadczenia nauczyły nas takich rzeczy, o jakich nie śniło się naszym przodkom; między innemi wiadomo jest teraz, że proch można ulokować w taki sposób, iż jego gazy rozwijają się dość szybko, aby wypchnąć śróty z niebywałą szybkością, lecz 1-o śrót ten traci następnie swą szybkość; 2-o kiedy śrót ten znajduje się mniej więcej na 35 metrów, posiada już mniejszą szybkość, aniżeli gdyby był wypchnięty przez proch, spalający się wolniej; 3-o że ta różnica zwiększa się w stosunku przebytej przestrzeni.

Jeśli sportsmen strzela jednym z takich prochów, szybkość spalania, oraz działanie, są bardzo wyraźne i bardzo dla niego przyjemne; lecz, używając go, wkrótce przekona się, że zyskując na szybkości na małych odległościach, traci na niej tam, gdzieby się mu ona najwięcej przydała, to jest na daleki dystans. I jeśli pragnie robić dalekie strzały, to więcej zrobi z prochem, który, dając zrazu mniejszą szybkość początkową, prześcignie swego świetnego antagonistę, przybędzie na 35 metrów przed nim i, zachowując swą szybkość, da lepsze rezultaty na 50 metrów i powyżej.

Dodam nadto, że te silne prochy obluzowują szybciej strzelbę i cały mechanizm, aniżeli prochy powolniejsze.

*(C. d. n.).*

## Ze wspomnień starego myśliwego.

### O oswajaniu zwierząt i ptaków.

Kiedy jeszcze byłem dzieckiem, mając lat siedem czy osiem, wielkie miałem upodobanie do ptaków i zajęcy. Naturalnie, kończyło się ono tylko na przypatrywaniu się i na wyszukiwaniu gniazd. Później nieco nauczyciel mój uczył mnie poznawania ptaków, ich nazwisk polskich i łacińskich. Dał mi więc kajet, w którym według Lineusza był podział ptaków na dziesięć rzędów, z przykładami odpowiednich ptaków po polsku i po łacinie. Pamiętam to do dziś dnia jaknajlepiej. W kilka lat później zacząłem wychowywać różne ptaki i zające — te przynosili mi, naturalnie, chłopi, ale one zwykle mi zdychały. Przyczyną tego było mocne ściskanie i trzymanie wpół, przez co zając silnie rzucał tylnymi skokami; prawdopodobnie wszystkie zwierzęta zdychają od tego. Znam dwa wypadki z chowanemi sarnami, które przysłano związane, a wreszcie z młodą klaczą, którą ze stadniny wzięto do stajni. Okazała się ona tak łaskotliwą, że ani zaprzęgu włożyć na nią nie było podobna, ani nawet dotknąć się ręką krzyża, bo biła zadem nieustannie. Aby ją od tego odzwyczaić, powieszono nad nią snopek słomy, który ją zlekka dotykał; ale cóż się stało, nazajutrz rano znaleziono już klacz nieżywą. Cóż teraz mówić o zającu biednym?

Ale wreszcie dostałem takiego, który się dobrze chował. Mieszkanie jego było w śpichlerzu, a siadał zwykle w kącie za beczką; przynosiłem mu co dzień miseczkę mleka; otworzywszy drzwi, siadałem zwykle na progu, wołając: kyci, kyci! Zającek na ten głos tak się nauczył przychodzić, że nie wiem jak się to stało, gdy przed wieczorem, otworzywszy śpichlerz, zawołałem: kyci, kyci! i szedłem w pole do grochu, to zającek szedł za mną, jak piesek. Czekałem, aż się naje i znowu kyci, kyci — i on za mną wracał do śpichrza.

Jednego razu wróciłem z pola bardzo późno, już nawet było ciemno. Otworzyłem śpichlerz, siadłem na progu, a zajęczyna łaził niedaleko mnie. Wtem pies z przed kuchni pędził prosto do niego; gdy to zającek spostrzegł, wpadł odrazu do śpichlerza za swoją beczkę. Było to w roku 1833. Oddano mnie do szkół i co się z zającekiem stało, niestety, nie wiem.

Wiadomo jest, że pomiędzy zwierzętami nieraz zupełnie różnych charakterów, zawiązuje się przyjaźń. Widziałem też raz, jadąc nad wieczorem przez chłopskie pola, zasiane dorosłem żytem, jak jakiś piesek, niewielki, ciemnej szerści, szedł miedzą w pole, a tuż za nim zającek mniej więcej równej z nim wielkości. U siebie również widziałem parę objawów takiej przyjaźni. Raz np. miałem wyżlicę, która z kotką była w wielkiej zażyłości, a gdy położywszy się na ziemi, skręciła się w kłębek do snu, to kotka wyłaziła na nią i tak spały razem. Albo np. to: Miałem dwa kruki, które nienawidziły psów; ile razy zobaczyły jakiego na podwórzu,

dopóty chodziły za nim, dopóty to za ogon, to za nogę skubały, aż w końcu pies wyniósł się za bramę.

Siedziałem raz na ganku i kruki przyszły do mnie, a ponieważ drzwi od sieni były otwarte, spostrzegły tam niewielkiego pokojowego pieska. Gdy do niego zbliżać się zaczęły, piesek zaczął uciekać, ale w końcu tak mu drogę zagrodziły, że siadł w kącie, trzęsąc się ze strachu. Byłem bardzo ciekawy, co to z tego będzie, bo miny kruków były całkiem inne, niż wtenczas, kiedy zbliżały się do psa na podwórzu. Najeżywszy pióra na sobie, zbliżyły się do pieska, poopierały jedną łapę na nim, kręcąc głowami, szwargotały nad nim, jak gdyby szepcąc mu coś do ucha, i na tem skończyła się awantura.

Ale i my skończymy o tej sprawie. Przejdziemy teraz do ptaków. W końcu listopada, czy w początkach grudnia, przepiórka wpadła do obory. Przyniesiono mi biedaczkę. Wpuściłem ją do pokoiku nieopalonego, ale widnego. Z początku dwa czy trzy dni nic jeść nie chciała, później, naturalnie, głód ją przemógł. Oswoiła się bardzo prędko, ale wkrótce nastały silne mrozy; zrobiłem jej więc budkę w kąciku ze słomianek, jakich się używa na butelki. W wielkie mrozy stawiałem jej na noc dwie butelki z gorącą wodą. Pudełko z prosem stało zawsze na jednem oknie, a miarkując, kiedy jest głodną, sypałem garstkę prosa zawsze w jednem miejscu. Wchodziłem do pokoiku i wychodziłem z niego zawsze powoli, tak jak i sypanie prosa uskuteczniłem bez najmniejszego hałasu. Taka jednostajność postępowania jest konieczną przy oswajaniu, a w każdym razie znacznie zmniejsza czas oswajania. To też ta przepióreczka w bardzo krótkim czasie się oswoiła i gdy się jej jeść zachciało, zawsze siadała na środku pokoju, a gdy przechodziłem tuż koło niej, aby wziąć prosa,, ani się ruszyła, dopiero gdy niosłem proso do miejsca oznaczonego, przybiegała do mnie. A raz gdy mi proso poprzylegało do ręki i widać za długo starałem się go pozbyć, zniecierpliwiła się i skoczywszy, dwa razy uderzyła mnie w rękę piersiami.

Gdy nadeszła wiosna i pszenica podrastać zaczęła, przyszedłem, żeby ją złapać i zanieść na pole. Dwa razy uciekała mi z kąta w kąt; chodziłem za nią bardzo powoli, wreszcie stanęła i pozwoliła się wziąć w obie dłonie, a wtedy włożyłem ją do pudełka i zaniosłem na pole.

Z tego przezimowania przepiórki i to podczas dużych mrozów, można wnosić, że przelotne ptactwo nie dla zimna, lecz dla braku pożywienia opuszcza nasze strony. Przyszło mi też na myśl, że i inne ptaki mogą u nas przezimować i tak np. widziałem ziębę, która całą zimę przeżyła w ogrodzie; widywałem nieraz skowronka w styczniu, który trzymał się zawsze na drodze, niedaleko miasta; dopiero po wielkiej zawierusze nocnej już się nie pokazał. Na sadzawce niezamarzającej, której brzegi obrosłe były jakimiś okrągłymi listkami, przebywała kurka; była, widać, zdrowa, bo prędko biegła za mojem zbliżeniem się pod zaspę śnieżną, zwieszającą się ponad wodą. Nieraz płoszyłem nocną porą dzikie kaczki, jadąc ponad rowem niezamarzającym i zarosłym jakiemś zielem. Na większych zaś oparzeliskach bywają nawet duże stada; na większych rzekach bystro płynących bywają miejsca niezamarznięte, gdzie nieraz widywałem po kilka traczy, a raz północnego nura. Prawdopodobnie więcej jeszcze takich znajdować się musi.

Że nie każdy ptak lub zwierzę daje się z łatwością oswoić, nietylko w rozmaitych gatunkach, ale nawet w jednej rodzinie, to pokaże się z następnego przykładu. Miałem w klatce cztery przepiórki, dzieci jednej matki; różniły się one pomiędzy sobą nietylko naturą, ale i zewnętrznym wyglądem, i tak: jedno było znacznie od reszty większe, a jedno widocznie najmniejsze; jedno obłaskawiło się bardzo prędko, a jedno zostało dzikie do końca.

Dawanie ulubionych pokarmów jest najlepszym czynnikiem w oswajaniu. Otóż np. złapawszy muchę lub jakiego owada, pokazywałem ją przez szczeble klatki; jedna tylko odrazu zaczęła się zbliżać wprawdzie ostrożnie, ale zawsze wzięła, co jej dawałem. Później, gdy już widziała z daleka, to przybiegała do brzegu klatki i śmiało brała z palców muchę, a szczególniej motyle. Dwie inne miały ochotę, ale się bały przystąpić, jedna zaś tak jakby gardziła tym darem, nawet nie chciała patrzeć w tę stronę, a gdy sypałem im ziarno, to ta oswojona natychmiast właziła pod rękę i tak się dalece nie bała, że pozwalała się głaskać, nie przestając dziobać. Przyszło mi na myśl dać im sałatę, chętnie bardzo skubały ją, ale podeptawszy, już jeść nie chciały; krajałem więc drobno sałatę i w tym stanie zjadały doszczętnie. Tak to im widać smakowało, że gdy wsunąłem rękę z tą zieleniną, to wszystkie bez wyjątku rzucały się na nią z niezmierną chciwością.

Jak każde stworzenie potrafi zrozumieć dobre obchodzenie się i dogadzanie jego potrzebom, zobaczymy zaraz. Idąc ścieżką w ogrodzie z córką moją, usłyszeliśmy pisk jakiegoś niebożątka. Przy boku ścieżki siedziała mała wilga, w niewielkiej tylko części pokryta rozwijającemi się piórkami; na wierzchołku drzewa odzywały się stare. Myśląc, że zapewne przypadkiem wypadła z gniazda, zawiesiło się ją na drzewie w maleńkim koszyczku. Stare nie prędko przyszły do niej, ale zdaje się, że jedna dziobnęła ją nawet. Po tym fakcie, zdaje się, że zostało umyślnie wyrzucone, jak to nieraz widzieć można u bocianów, gdy się pięcioro wylęgnie. Cóż było robić? Trzeba było wziąć tę małą wilgę do domu. Największy był kłopot, co jej dawać jeść, bo wiadomo, że wilga głównie żywi się owadami. Kazałem więc łapać muchy w kuchni i zmoczone wodą, napychało się jej w dziobek, który, naturalnie, sama roztwierała. Tym sposobem się ją wykarmiło. Z początku zajmowała się nią moja córka, a wilga tak znała jej głos, że gdy mówiła w trzecim pokoju, to ta ptaszyna natychmiast się odzywała. Później wziąłem ja ją w opiekę, gdy już zaczęła latać, jeść dawałem w pewnych odstępach czasu i bardzo to jej służyło; tak mnie znowu polubiła, że najczęściej siadała na oknie, przy którem zwykle siaduję, wskakiwała mi na ramię i skubała delikatnie za włosy; to zapewne musiały być pieszczoty. Najwidoczniej uważała nas za swoją rodzinę, bo nigdy nie chciała zostać sama, a gdy podczas obiadu zamykałem ją w jej pokoiku, to zawsze siadała na drzwiach i szparą wyglądała do nas. Później dowiedziałem się, że lubi bardzo agrest, a motyle to już były dla niej najlepszym przysmakiem. W sierpniu trzeba ją było wypuścić do ogrodu, bo to czas ich odlotu; ostatni to raz widzieliśmy tę miłą ptaszynę.

*K. Dębicki.*

*(Dok. nast.).*

## Jeszcze o bobrach.

Wobec zainteresowania, jakie wywołał niedawno zamieszczony opis bobrów i podobizny ich chat, uzupełniamy go nowymi szczegółami. Bóbr był niegdyś — przed wiekami — zwierzęciem, tworzącem na naszych rzekach i stawach liczne i często spotykane osady. Futro bobrowe stanowiło jeden z przedmiotów ożywionego handlu, jaki prowadziliśmy z naszymi sąsiadami. Książęta i panowie trzymali na swoich dworach osobnych łowców bobrowych i stróżów, pilnujących, aby zbytnio nie tępiono pożytecznych tych zwierząt. A jednak nic nie pomogło, wytępiono je u nas prawie bez śladu. Ślad ten pozostał tylko w częstych nazwach miejscowości, wskazujących na rozpowszechnienie tego mądrego i pięknego zwierzątka (Bobrowo, Bobrowniki, Bobrzyń etc.) i w nielicznych osadach jego, istniejących gdzieniegdzie jeszcze na Polesiu. Podobnie wytępiono zresztą bobra i w zachodniej Europie, tak, że dziś spotkać go można tylko wyjątkowo nad brzegami Rodanu i na wyspie Camargue, jako osobliwość gdzieindziej nieznaną.

### Bobry we Francyi.

Rady generalne departamentów Gard, Vaucluse i Bouches-du-Rhône (Francya) zawotowały roku zeszłego absolutną ochronę bobrów i od tej pory wszelkie polowa-

nia na te gryzonie zostały wzbronione. Czyżby więc bobry istniały jeszcze we Francyi? Niema ich wiele, niemniej jednak spotykają się tam jeszcze.

Niegdyś były one bardzo liczne, o czem świadczy mnóstwo nazw miejscowości, jak Brevenne, Brevonne, Breuvanne, Beuvron-en-Auge, La-Motte-Beuvron i inne, a także nazwy rzek: Bièvre, la Beuvronne, la Brévonne, la Brevanne, słowem wszystkie nazwy, pochodzące od wyrazu łacińskiego *biber*, oraz od gallijskiego *bébros* lub *bibros*, oznaczającego bobra, zkąd też pochodzą: niemiecki *biber*, angielski *beaver*, włoski *bevero* i niewątpliwie polski *bóbr*. Rola,, jaką odgrywa w toponymii pierwiastek gallijski, dowodzi, że bóbr był ongi bardzo rozpowszechiony w Europie i we Francyi.

Obecnie zwierz ten stał się bardzo rzadkim. Spotyka go się jeszcze w niektórych częściach Rosyi, w Norwegii, pomiędzy Magdeburgiem i Wittenbergiem, gdzie się trzyma 150 do 200 sztuk, wreszcie w Anhalt. We wszystkich tych krajach jest on ochraniany przez prawo. We Francyi *le vibré* — nazwa „patois", pochodząca również od *bibros* — bóbr trzyma się jeszcze tylko na dolnym Rodanie, w Camargue i w Gardon.

Dotychczas bobra można było strzelać lub łowić; odtąd prawo tego zabrania. Nie dość, że go było można zabijać, ale nawe płacono nagrodę za jego głowę. Pomiędzy rokiem 1885 a 1891 dawano 15 franków nagrody za zabitego bobra. Na skutek starań p. Valery Mayet'a, premium to zostało zniesione. A teraz dzięki wytrwałej kampanii, prowadzonej przez p. Galien Mingaud'a, ruchliwego sekretarza Towarzystwa przyrodników w Nimes, bóbr został odadny pod opiekę prawa: stał się tem, co Polinezyjczycy nazywają *tabu;* ma prawo żyć i rozmnażać się. Francya była jedynym krajem europejskim, gdzie ten ciekawy zwierz nie był chroniony przed niszczycielską manią posiadaczy broni. Należy powinszować p. Galien Mingaud'owi dobrego skutku, osiągniętego po długoletnich staraniach.

Uważano bobra za szkodnika; przypisywano mu, że dziurawi tamy, zbudowane na brzegach Rodanu w Camardze w celu nawodniania winnic. W rzeczywistości zaś robi on swe nory w innych okolicach, a mianowicie w tak zw. *segonneaux*, to jest gruntach nizkich, mulastych, niezajętych pod kulturę lub na t. zw. *ilons*, małych wysepkach, porozrzucanych na wielkim i małym Rodanie. Bóbr nie czyni żadnej szkody; a zresztą znajduje się tam w zbyt małej ilości. Trzyma się on małemi koloniami, które w ostatnich latach zmniejszano jeszcze o dziesięć do piętnastu sztuk rocznie. Wylewy rzeki przynosiły też znaczny ich ubytek, unosząc te zwierzęta do morza. W samej rzeczy, niełatwo jest biednym bobrom rozmnażać się dowolnie.

W podobnych warunkach wskazanem było ustanowienie ochrony, aby nie ubożyć naturalnej fauny tępieniem tak ciekawego i tak rzadkiego zwierzątka. Teraz, kiedy bóbr będzie mógł żyć swobodnie — o ile na to pozwoli sama przyroda — naturaliści mają sposobność studyowania tych pracowitych i przemyślnych gryzoniów i dania nam szczegółów co do ich życia.

---

## Bobry w Ameryce.

Do niedawna dużo jeszcze bobrów znaleźć można było w dziewiczych krainach północnej Ameryki. Ale obecnie i tam bóbr zwolna, lecz nieustannie ginie. Posłuchajmy opowiadania jednego z amerykańskich pisarzy, opisującego nam obyczaje i mądrość tego zwierzątka pod formą opowieści, z życia jednego z osobników tego gatunku.

Bohater niniejszego opowiadania urodził się w jednem z najstarszych miast nowego świata, na północy jeziora Michigan. Nikt zapewne nie mógłby określić, kiedy wbito pierwszy pal grobli, zamykającej upływ niezbyt głębokiej rzeczki i tworzącej w ten sposób obszerny staw, gdzie cały naród cieśli i murarzy wybudował sobie mieszkalne chaty. Z każdem pokoleniem wzrastały rozmiary miasta, a jednocześnie podnosiła się grobla i poziom wody.

Nad tą siedzibą przechodziły różne zmienne losu koleje. Zostawili tam ślady zniszczenia myśliwi i traperzy; szukając futer, zerwali tamę, zburzyli mieszkania, pomordowali mieszkańców i oddalili się dopiero wtedy, gdy nie było już nic do wzięcia lub do zabicia. Wtedy to kilku członków rozproszonego plemienia, ocalałych dlatego, że się schronili w sąsiednie lasy i bagna, powróciło między ruiny rodzinnego miasta i wedle sił a możności poczęło naprawiać szkody. Powoli miasto zakwitło na nowo i pełne było szczęśliwych i pracujących mieszkańców.

Przez pierwszy rok życia młody nasz bóbr rósł i rozwijał się tylko. W ojcowskiej chacie, między rodzeństwem, dorastał swej miary, nabierał muskułów i siły. Wyszły mu zęby; nauczył się używać ich, skubiąc korę gałązek, które miały być jego pożywieniem, i ciął je dla zabawy na krótkie patyczki.

Ogon jego, w kształcie steru, grubiał, twardniał i zaczynał pokrywać się skórą szorstką, rogową. Na wiosnę cała rodzina zostawała pod opieką matki, która kończyła karmienie dzieci i dopełniała braki ich wychowania. Jest to pora, którą ojcowie przepędzają w podróżach: nocami samotnie dążą w górę biegu wody, na której brzegach znajdują obfite pożywienie; we dnie chowają się po tymczasowych norach, które sobie tworzą w ścianach wybrzeża.

Krótko jednak trwają te przyjemności: z nadejściem lata wracają one do domów, gdzie zastają dzieci swe podrosłe, zdolne do pracy przy utrzymaniu grobli; przy reparacyi i powiększaniu chaty i przy zbiorach kory na zimę.

Jesień się rozpoczęła; noce bywały już długie i ciemne. Młody bóbr odbywał praktykę; towarzyszył swym rodzicom na brzeg lasu. Oni długimi, żółtymi zębami podcinali wokoło pień drzewa na wysokości 50 lub 60 centymetrów od powierzchni ziemi, póty, póki nie runął z wielkim trzaskiem i łoskotem łamiących się kolejno gałęzi, przyczem zawsze korona drzewa padała w kierunku stawu: tymczasem młody bóbr powinien był obcinać najcieńsze gałązki i przenosić je na stos, który się powoli zaczyna wznosić przed chatą.

Nie jest to łatwe zadanie. Młody bóbr ząbkami odrywa gałązkę od pnia, grubszy jej koniec pyszczkiem ujmuje i ciągnie ją, zwracając głowę na bok, aby liściasta kiść wlokła się za nim swobodnie. A tu przeszkód bez liku: kamieni, pniaków, narośli, roślin pnących, nierówności gruntu. Niekiedy mały robotnik musi się obracać, cofać prawie, stojący, oparty na swym ogonie i zgięty, aby mieć więcej siły. Jakiekolwiek spotyka trudności, nie zraża się i nie zniechęca, aż dociera w końcu do jednego z kanałów, które rozchodzą się wokoło stawu, a są dziełem jego przodków. Odtąd zadanie już uproszczone, byle nie zaczepił się o trawy wodne i poszarpane brzegi kanału; ale zbyt dobrym jest pływakiem, aby nie dobić szczęśliwie do celu.

Niekiedy zdarza mu się, że trzeba pchać przed sobą olbrzymią jakąś gałąź, pociętą przez rodziców na okrągłe polana, i to pchać ją pyszczkiem i łapkami aż do kanału. Kawały drzewa ciężkie są niedogodne, trudne do obracania, ale młodzik dokłada wszelkich sił i starań, a chociaż wiele z nich utknie mu po drodze, przecież niemałą liczbę sprowadzić zdoła do zimowego stosu.

To życie spokojne, pracowite, w którem poczucie spełnionego obowiązku było rękojmią szczęścia, nie trwało jednak długo.

Pewnej ciemnej listopadowej nocy ojciec naszego bobra wybrał się w nową część lasu, aby naznaczyć drzewa, zdatne do podcięcia... i nie wrócił więcej.

Jakież go spotkało nieszczęście? Czy zginął tak, jak jego sąsiad, który niedawno, podgryzając drzewo, nie zdążył się usunąć, tak, że pień, padając, zmiażdżył mu głowę? Ojciec naszego bobra był jednym z najstarszych i najdoświadczeńszych z całej osady, zbyt był więc ostrożny, by uledz podobnemu wypadkowi.

Nieszczęście, które go dosięgło, było gorsze, gdyż zagrażało całej osadzie bobrów. Pewien traper, biegły

w swej sztuce, umiejący rozpoznać wiek i wielkość zwierząt po znakach na drzewach i po śladach przejścia wśród zarośli, odkrył siedzibę bobrów i rozpoczął systematyczne ich niszczenie.

Zauważył on rodzaj korytarza, który stary bóbr utworzył sobie przy ujściu do stawu, a po uchylonych gałązkach, po ubitej trawie wniósł, że ten, który drogą tą przechodzi, musi być osobnikiem dojrzałym, wielkim i niezawodnie ojcem rodziny. Trzeba było zacząć łowy od tej właśnie zdobyczy. Gdyby najpierw złapał jednego z malutkich, mógłby wzbudzić nieufność w starym bywalcu, który niezawodnie przeprowadziłby się z rodziną w inne strony.

Ustawił tedy nad brzegiem wody u samego początku ścieżyny ciężki zatrzask z podwójną sprężyną i przykrył go cienką powłoką mchu. Skoro biedny bóbr przybył na nocną wyprawę, ledwo krok zrobił ku wodzie, poruszył pułapkę, i dwoje stalowych szczypców schwyciło go za biodro.

Instynktownie jednym susem rzucił się z powrotem w jeziorko, pociągając za sobą maszynę tak daleko, jak na to łańcuch pozwolił, ale na powierzchnię wody wypłynąć nie mógł, pułapka była zbyt ciężka i zaciągnęła go na dno. Czas jakiś jeszcze szamotał się, potem wszystko ucichło, a nazajutrz traper na końcu łańcucha oprócz zatrzasku znalazł i nieżywego bobra.

Wytrwały myśliwy pracował długo z równem powodzeniem, starannie, ostrożnie, zastawiając przy pułapkach przynętę ze świeżych gałązek, lub rozlewając kilka kropel bobrowej esencyi, która, jako znana woń, wzbudza ufność i przyciąga samice. Codzień też zbierał nowe ofiary i powiększał swoje skarby futrzane.

Tak to młody nasz przyjaciel musiał być świadkiem powolnego znikania całej rodziny; naprzód zginęła matka, potem bracia i jego siostry. On zaś sam, pewnej nocy, gdy wracał do opustoszałego domostwa, spostrzegł dwa rzędy palików, które zostały umieszczone w wodzie podczas jego nieobecności i tworzyły tak ciasny korytarz, że się ledwie mógł przecisnąć. Płynął tedy zwolna, za pomocą tylnych nóg jedynie, przednie łapki, niby ręce, trzymając ściśle przy sobie, i zbliżał się do podziemnego otworu swej siedziby, zawsze zalanego wodą... Nagle uderzył piersią o zatrzask pułapki, której żelazo otwarło się i spadło, nie schwyciwszy nic, prócz garstki sierści.

Traper, zobaczywszy nazajutrz łapkę naruszoną, a pomimo to pustą, przekonał się, że nie wszystko zdołał przewidzieć. Przypuszczał, że mądre zwierzątko umyślnie poruszyło sprężynę zatrzasku. Zarzucił przeto kosztowną metodę, której pierwsza próba nie przyniosła plonu. Odtąd poprzestał na zastawianiu gęsto łapek na dnie stawów i w nadbrzeżnych lasach.

Nasz młody bóbr nie zawsze tak małym kosztem uchodził zastawionych sideł. Wkrótce potem w czarną, posępną noc, bez wiatru, z drobnym, rzęsistym deszczem, w noc taką, jaką najbardziej lubił, wybrał się na podgryzanie jakiejś wodnej rośliny, lecz niestety, wsadził łapę tam gdzie nie trzeba, i został schwytany powyżej dłoni.

Woda była niegłęboka, więc nie groziło mu tak, jak ojcu, niebezpieczeństwo utopienia się, za to groza przyszła z innej strony.

Zaledwie przyszedł do siebie z osłupienia, ujrzał świecące oczy wydry, wpatrujące się weń z pożądliwością. Drapieżnik przybliżał się zwolna ku niemu i tu zapewne byłby koniec historyi naszego przyjaciela, gdyby nie trzask drugiej pułapki, w którą wpadła wydra schwycona za biodro. Przekonała się z boleścią, że zbyt pośpiesznie liczyła na ponętną zdobycz.

Obaj więźniowie szarpali się długo, jeden o kilka kroków od drugiego, ale wydra była wzięta zbyt wysoko. Wyczerpana wysiłkiem, musiała poddać się losowi i zrana traper, obchodząc zatrzaski, dobił ją tylko kijem.

Zato w drugiej pułapce znalazł tylko część łapki z resztkami wyrwanych muskułów i poszarpanemi ścięgnami.

W istocie, młody bóbr szarpał się z taką dziką energią, że złamał kostkę w ręku i za cenę jednego postradanego członka, wolność odzyskał.

Natura była dlań łaskawą; rana zabliźniła się, a gdy nadeszła zima, już biedną łapkę pokryła skóra.

Tymczasem dzieło zniszczenia trwało dalej. Skorupa lodowa w miesiącach grudniu i styczniu bynajmniej nie chroniła nieszczęśliwych zwierząt. Przeciwnie, traper, tem uroczywiej zastawiał zatrzaski u wszystkich otworów, któremi bobry przychodziły zaczerpnąć powietrza, i łapał je tem pewniej.

Gdy przyszła odwilż, mała garstka ocalonych postanowiła porzucić opustoszałą siedzibę, w której żyć było niepodobieństwetm, i rozproszyła się to pojedynczo, to parami, to wreszcie wlokąc za sobą małe, które jeszcze chodzić nie umiały.

Nasz bóbr nie poszedł samotny na wygnanie. W ogólnem zamieszaniu znalazł towarzyszkę, która była gotowa dzielić z nim losy i dobrą, czy złą dolę.

I zaiste była to dobrana para. Jednej długości i wagi! Każde z nich miało może trochę więcej niż metr od nosa do końca ogona, każde z nich ważyło 26 albo 27 funtów; przysadkowate ich ciało pokrywało piękne, ciemno-bronzowe futro; ruchy mieli niezgrabne, głowę podobną do olbrzymiego szczura, oczki małe, jasno-brunatne, uszka zaokrąglone i porośnięte i długie zęby pomarańczowego koloru, które widać było przez półotwarte pyszczki.

Trudno je było odróżnić jedno od drugiego, gdyby nie urwana łapka samca.

Po długich poszukowaniach i badaniach młoda para upodobała sobie niezbyt głęboki strumyk, który wśród wielkiego lasu toczył się łożyskiem twardem i kamienistem. Tam postanowili założyć nową ojczyznę. Zaczęli od gromadzenia wpoprzek strumyka łodyg i gałęzi młodej olszyny.

Następnie powoli, z trudem pracując przez wiele nocy, zapełnili luki tej tamy kamieniami, błotem i mchem, które nieraz przywozili z bardzo daleka, trzymając je w przednich łapkach, podczas gdy do pływania służyły im tylne nogi i ogon.

Ciężka to była praca dla naszego bobra, który nie miał jednej ręki. Trzymał jednak swój ciężar, jak umiał, najczęściej między pozostałą łapą a pyszczkiem.

Pewnego dnia wreszcie grobla została ukończona, dokładnie wypełniona, a wszędzie równie mocna, wskutek nagromadzenia gałęzi i pali.

Byliby ją zrobili jeszcze lepiej, ale w pierwszym roku chodziło przedewszystkiem o pośpiech, by przed zimą zbudować sobie mieszkanie. Woda rozlana, jako staw po zagrodzeniu jej przez groblę, utworzyła wysepkę z małego pagórka ziemi, pokrytego gęstą trawą. Miejsce to wydało się młodej parze odpowiedniem na budowę domu.

Wkrótce też kopuła z gałęzi, zlepionych mułem, pokryła okrągłą izbę, której boisko z krótkich gałązek ubitych w ziemi, wykonały płaskie ogony architektów.

Dwa tunele z dwóch stron chatki schodziły ku wodzie i były jedynem wejściem do mieszkania. Na wierzchołku kopuły maleńki otwór, zasłonięty zeschłemi gałązkami, przepuszczał powietrze do mieszkania małżonków, gdzie na dzienny odpoczynek przygotowali sobie grubą podściółkę z mchu i liści.

Domek ten nie wystarczał im. Mieli w nim wprawdzie wygodę, ale w razie niebezpieczeństwa szybko zostałby odkryty i zniszczony. Musieli zatem stworzyć sobie miejsce schronienia bezpieczne i pewne. W wyższej części stawu wybrali w tym celu stromy brzeg i, wykopawszy korytarz, podnoszący się w górę, mający cztery do pięciu metrów długości, utworzyli podziemną kryjówkę, do której powietrze dochodziło kilkoma kanałami, ukrytymi zręcznie wśród korzeni wielkiej brzozy. Cała rodzina bobrów mogła, ścisnąwszy się trochę, zmieścić się tam, w cieple i bezpieczeństwie.

Przed zimą zdążyli jeszcze złożyć stos gałęzi z korą, jako zapas żywności i, zrobiwszy to, odpoczęli w zadowoleniu.

Następnej wiosny, w maju, przybyły im dzieci. Kiedy już zaczęły małe bobry wykonywać harce w pobliżu chatki, jeden z nich wysunął się zadaleko i został przez wydrę zabity i porwany; cztery pozostałe jednak wychowały się szczęśliwie i założyły osobne gniazdo.

Z czasem kolonia wzrosła naturalnym sposobem, a jednocześnie przybyły nowe chatki, podniosła się grobla i powierzchnia stawu stała się większą.

Wędrowne pary, wypędzone również ze swych siedzib przez traperów, przebywały raz po raz, mnożąc liczbę mieszkańców nowej osady, która stała się niemal tak poważną i pełną znaczenia, jak dawna ojczyzna naszego bobra.

Teraz wszystko się uśmiechało wygnańcowi; on był założycielem, on pierwszym obywatelem, on najszanowniejszym z członków gminy; posiadał zadowolenie, jakie daje życie, pełne zaszczytnej pracy, uwieńczone powodzeniem. W zadowoleniu z życia i dumie nie przewidywał końca...

Lecz człowiek nie pozwala zestarzeć się osadom bobrów; ledwie daje im czas utworzyć się i wzrosnąć.

Nadszedł luty — zima była ciężka.

Bóbr i jego małżonka wyszli z domu i popłynęli prawie na samo dno jeziora, przykrytego grubą powłoką lodu, aby tam podgryzać korzenie nenufarów, najdelikatniejszego ich przysmaku.

Nagle usłyszeli nad głowami swemi hałas kroków i szmer głosów. Przerażeni wpadli w najbliższy kanał podziemny i tam przyczaili się w niespokojnem oczekiwaniu. Była to gromada Indyan, myśliwych, która przy rąbaniu lasów odkryła kolonię bobrów.

Stąpali po lodzie, rozpatrując położenia mieszkań i ciesząc się naprzód myślą, że będą mieli przez długie miesiące opłacić czem whisky i tytoń.

Nie długo się też namyślali. Natychmiast ustawili paliki na lodzie tak, aby zamknąć wyjście ze stawu w kierunku przeciwległym do grobli; potem, wiedzeni instynktem ludzi dzikich i nauczeni przez starego strzelca, który za lat młodych dosyć futer dostarczył Kompanii Hudsońskiej Zatoki, powycinali przeręble we właściwych miejscach i znaleźli wszystkie prawie kanały wraz z otworami, wiodącymi do podziemi. Zamknęli i jedne i drugie. Wtedy, upewniwszy się, że wszystkie bobry są uwięzione, przerwali groblę i osuszyli staw. Teraz już tylko pozostawało zburzyć chatki i pozabijać kijami nieszczęśliwych mieszkańców. Nasz przyjaciel i założyciel kolonii zakończył wówczas swą chlubną karyerę.

Być może, iż który z młodszych i zwinniejszych bobrów wymknął się i uciekł, aby gdzieś dalej założyć nową osadę nad nieznaną wodą, gdzieś dalej ku północy, gdzie ludzie jeszcze nie zdołali się przedostać.

Gnane z miejsca na miejsce, ze schronia do schronia, biedne gryzonie skończą na osiedleniu się w Kanadzie i podbiegunowych krainach Ameryki północnej, lecz nie zdołają już może wobec ciągłego prześladowania zakładać wspólnych kolonij, żyjąc pojedynczemi rodzinami, tem zawzięciej tropione, im będą rzadsze, zatracą zapewne niebawem swe cudowne zdolności inżynierskie i konstrukcyjne, tak, jak je zatracili ich krewniacy, żyjący jeszcze nad brzegami Rodanu, a mianowicie na wyspie, którą rzeka ta przy ujściu z dwóch stron ramionami otacza.

## Przechowywanie jaj.

W ważnej dla myśliwych-hodowców sprawie przechowywania jaj różnych ptaków przez czas dłuższy, naprzykład przez pół roku, znajdujemy w jednem z pism fachowych szereg wskazówek nader pouczających. Sposobów konserwowania jaj posiadamy bardzo wiele, lecz tylko na krótszy okres czasu, bowiem przez dłuższe leżenie, np. 6—8 miesięcy, zawsze pewien procent musi uledz zepsuciu.

Najwięcej w użyciu są następujące środki:

1) Układać jaja warstwami w skrzyni lub innem naczyniu, tak, aby pomiędzy sobą nie dotykały się, i przesypywać dobrze suchym miałem torfowym lub popiołem.

2) Posmarować każde jajko waseliną lub masłem (należy wykonać to bardzo starannie) i układać warstwami w naczynia.

3) Zanurzać jaja w szkle wodnem lub przez 3 minuty w 5-procentowym roztworze kwasu salicylowego, a następnie po wyjęciu osuszyć na powietrzu i układać w skrzyniach, przesypując sieczką.

7) Jeden z najnowszych środków, przy którym można przechować jaja w świeżości 10—12 miesięcy, wynaleziony przez dra Hanika z Monachium, polega na tem, aby jaja zanurzać w gorącej wodzie przez 5 sekund; przedtem należy jaja przejrzeć, czy nie mają uszkodzeń i włożyć na kwadrans do wody ogrzanej na 35 stopni Cel., przy wyjmowaniu z brudu ocierać gąbką, wkładać ilość dowolną na durszlak, sito lub t. p. i zanurzać w gotującej wodzie przez 5 sekund; po wyjęciu w tem samem naczyniu zanurzać w zimnej wodzie do zupełnego ostygnięcia, wodę zimną należy często odświeżać; następnie nie wycierając, układać na płótnie i suszyć na powietrzu, po osuszeniu pakować w skrzynie i przesypywać sieczką, popiołem lub t. p. Sposób ten potrzebuje nadzwyczajnej ścisłości i wprawy i dlatego zaleciłbym próby robić w mniejszej ilości; dłużej nad 5 sekund jaj w gorącej wodzie nie można trzymać, gdyż zetnie się białko pozostawiając zaś krócej, naprzykład 4 sekundy, nie zostaną dostatecznie zniszczone bakterye gnilne, a tem samem i jajko przez dłuższe leżenie musi uledz zepsuciu.

Przy wszelkich sposobach konserwowania jaj należy trzymać się następujących zasad:

1) Najdłużej przechowywać dają się jaja znoszone, poczynając od miesiąca sierpnia; jeżeli więc chcemy konserwować wcześniejsze, naprz. z czerwca i lipca, to należy je z każdego miesiąca układać do oddzielnej paki lub naczynia, pakę oznaczyć, w którym miesiącu zostały zakonserwowane, aby użyć je najsamprzód, naprz. przez październik i listopad, zaś z sierpnia i września przez grudzień, styczeń i luty.

2) Jaja konserwować natychmiast po zniesieniu, bowiem im dłużej leżą na powietrzu, tem więcej podlegają zarażeniu bakteryami gnilnemi, wnikającemi z powietrzem do wnętrza jaja.

3) Utrzymywać gniazda w nadzwyczajnej czystości, aby jaja zniesione, nie zostały zanieczyszczone.

4) Wszelkie materyały do przesypywania jaj winny być suche, czyste i dobrze miałkie, naczynie również czyste bez jakiegokolwiek zapachu.

5) Zakonserwowane jaja po upakowaniu w skrzynie lub inne naczynia przechowywać w miejscu zupełnie suchem i chłodnem, zabezpieczonem od mrozów. Zasady powyższe są niezbędne, jeżeli przy konserwowaniu jaj nie ma być dużego procentu zepsutych.

Ze wszystkich zaś tu wyliczonych sposobów, najmniej kłopotliwe, a przy których osiągamy pożądany cel, będą: miał torfowy i waselina.

## Poskramianie dzikich zwierząt.

### (Uzupełnienie).

W uzupełnieniu obszernej pracy, drukowanej w naszem piśmie, podajemy jeszcze parę ciekawych szczegółów w tym przedmiocie, tudzież sprawozdanie z innej książki, omawiającej sprawę poskramiania dzikich zwierząt.

Sławny pogromca lwów, Hamburger, umieścił w jednym z dzienników londyńskich ciekawy opis poskramiania dzikich zwierząt.

Twierdzi on, że bardzo mylnem jest przekonanie, iż w takim wypadku jedynie siła fizyczna jest konieczna. Przeciwnie, zwierzęciu imponuje człowiek tylko swoją wytrwałością, rozumem, przebiegłością, pewnością, nigdy zaś biciem, głodzeniem lub czemś podobnem.

Zrozumiałą jest rzeczą, że łatwiej jest oswoić młode zwierzęta, ale i stare da się pokonać przy rozumnem i doświadczonem postępowaniu.

Tresurę rozpoczyna Hamburger od tego, że podczas snu lwa wsuwa do klatki zwyczajny, drewniany stołek. Lew budzi się, widzi obcego przybysza, ze wściekłością rzuca się na niego i druzgoce. Ta procedura powtarza się przez kilka lub kilkanaście dni z rzędu, zależy to od pojętności zwierzęcia, t. j. tak długo, dopóki nie zrozumie, że jego gniew na nic się nie przyda, gdyż stołek wraca i szkody mu nie robi. Nareszcie lew, przyzwyczajony do widoku stołka, mruczy, lecz zostawia go w spokoju.

Wieczorem dostaje lew w jedzeniu proszek odurzający i zapada w głęboki sen narkotyczny. Pogromca zakłada mu wtedy na kark i łapy mocny łańcuch, przeprowadza przez kraty klatki i przymocowuje z zewnątrz do muru, tak, ażeby go można z łatwością odpiąć i lwa uwolnić z kajdan, nie wchodząc do klatki. Poczem zakłada sobie pogromca na ramiona i piersi matę z długiej, plecionej słomy, jak pancerz, bierze w rękę tępe widły i tak uzbrojony, siada na stołku i czeka przebudzenia się lwa.

Zwierzę ujrzawszy obcego, chce się nań rzucić, ale łańcuch nie pozwala mu się ruszyć. Pogromca wpatruje się wtedy bystro przez pewien czas w szarpiącego się lwa, poczem cofa się do drzwiczek klatki, nie spuszczając ani na mgnienie oka wzroku ze swego przeciwnika i wychodzi, zostawiając w klatce kawał mięsa. Równocześnie dozorca uwalnia lwa z uwięzi.

Dobry kąsek zaciera w pamięci jego niemiłe wrażenie bólu i trwogi.

Pogromca powtarza swe wizyty tak długo, dopóki się zwierz do jego widoku nie przyzwyczai. Największą rolę odgrywa tu siła wzroku ludzkiego i głos.

Gdy już lew jest tak dalece oswojony, że się nie rzuca na człowieka, będąc przywiązany,—odważa się tenże po raz pierwszy wejść do klatki, gdy lew ma swobodę ruchów. Jeżeli się lew zbliża, uderza go pogromca zlekka widłami w nozdrza, najczulsze miejsce; lew wtedy przypomina sobie ból, jaki mu sprawiał łańcuch i siada zwykle spokojnie, za co dostaje podwójną porcyę mięsa.

Reszta tresury nie sprawia wielkich trudów, lecz wymaga nadzwyczajnej cierpliwości i bystrości. Broń Boże, żeby się pogromca miał zapomnieć i wejść w stanie nietrzeźwym do klatki lub gniewem się unieść. Na jedną sekundę niewolno pogromcy spuścić z oka swego przeciwnika.

Najłatwiej uczą się lwy przeskakiwać przez obręcze lub inne zapory, najtrudniej przyzwyczaić je do widoku ognia, huku i t p.

Lwice są bez porównania pojętniejsze, niż lwy, i bardzo wdzięczne. Bywało już nieraz, że lwica uratowała swego pogromcę od napaści swego męzkiego towarzysza.

Warto też widzieć wdzięczny wzrok słonia-olbrzyma, gdy mu operator nagniotków sprawi ulgę w stopie. I słoniom bowiem, nietylko nadobnym amatorkom ciasnego obuwia, dokuczają nagniotki. Całe końskie kopyto jest niczem wobec tej rogowej narośli, jaka się nieraz tworzy pod stopą tego potężnego zwierzęcia. Słoń zaczyna wtedy ryczeć, stoi na trzech nogach i traci humor.

Ale podczas gdy piękna czytelniczka swój „odcisk“ czy „nagniotek“, usuwa za pomocą płynów, plasterków, skrobań, dłubań i wśród nerwowego pisku, — operator słoniowych nagniotków bierze w rękę potężne dłuto i młot, i niemi, niby cegłę, lub kamień, odbija z nogi słonia nagniotek po kawałku.

Ciekawe są szczegóły doświadczeń, przeprowadzanych w paryskim „Instytucie psychologii zoologicznej“, którego dyrektorem jest p. Hachet-Souplet, a który założony został w roku 1901-ym. Sama nazwa instytutu wskazuje, że zadaniem jego jest badanie wogóle duchowego życia zwierząt; w szczególności zaś instytut ten wziął sobie za cel, powołanie do życia nowej nauki doświadczalnej i danie jej pewnych podstaw. Tą nauką jest „Zoopedya“.

Wyraz ten (od *zôon*—zwierzę i *paideia*—wychowanie) pochodzenie swoje zawdzięcza nietylko chęci ukucia nowego wyrażenia; służy raczej do określenia metody, zupełnie różnej od stosowanych dotychczas w psychologii porównawczej sposobów doświadczalnych.

Zoopedya ma na celu nietylko wprowadzenie ładu i systemu racyonalnego do metod tresowania, jakiemi posługują się zawodowcy w cyrkach i budach jarmarcznych. „Jestto tylko część naszej młodej nauki“ — pisze p. Hachet-Souplet, „która obejmuje oprócz tego inne jeszcze dziedziny: badanie znaczenia psychologicznego owych właśnie metod, stosowanie ich do celów czysto naukowych i wreszcie wynajdywanie nowych środków tresury, przeznaczonych przedewszystkiem do pogłębienia badań w dziedzinie psychologii zwierzęcej. Zoopedya dzieli się na cztery zupełnie odrębne dziedziny główne: 1) Badanie zajść w cyrkach i menażeryach wędrownych; 2) teorya psychologiczna metod używanych przez zawodowych tresowników; 3) stosowanie pewnych, znanych już środków tresury do badania psychologii zwierząt i 4) wynalezienie nowych metod tresury, jak np. „namowa“, które mogą być probierzem inteligencyi zwierząt“.

W dalszym ciągu wyjaśnień swoich p. Hachet-Souplet opowiada, że, kierowany miłością do zwierząt, interesując się szczerze ich tresurą, nie zaniedbał żadnej sposobności, by nawiązać stosunki z tresownikami i poskramiaczami zwierząt i przyglądać im się przy pracy. Z drugiej strony otworzył „cyrk poufny“ w Paryżu, do którego zapraszał zawodowców i miłośników, by popisywali się umiejętnością swoją i gdzie następnie sam zaczął tresować zwierzęta bądź własne, bądź od muzeum przyrodniczego wypożyczone. Nie dosyć na tem — chcąc zbadać wpływ publiczności na swoich wychowańców, urządzał osobiście w cyrkach i innych lokalach widowiska z tresowanemi zwierzętami. Badania te zajęły p. Hachet-Souplet'owi dwadzieścia kilka lat, a ich wynikom poświęcił specyalną książkę, w Paryżu wydaną, p. t. „Tresowanie zwierząt i walki zwierząt“.

Najbardziej rozpowszechnione jest mniemanie, że inteligencya lub pojętność zwierzęcia stanowi niezbędny przy tresurze czynnik. Jestto wszakże, zdaniem p. Hachet-Soupleta, mniemanie zupełne błędne. W nauczaniu zwierząt tych wszystkich sztuk, jakiemi następnie popisują się w cyrku, inteligencya ich bynajmniej w grę nie wchodzi; uczą się one jedynie drogą skojarzenia wrażeń przez nierozerwalne ich następstwo.

Tą drogą też odbywa się tresura psów, które umieją liczyć. Do takiego „numeru“ wybiera się psa, który umie już aportować i przedewszystkiem trzeba go przyzwyczaić do podnoszenia leżącego w pobliżu przedmiotu, skoro tylko usłyszy mlaśnięcie językiem; przyczem należy go poprawiać, ilekroć chwyci przedmiot leżący nieco dalej. Wystarczy tedy następnie, trzymając psa na smyczy, przyzwyczaić go do obchodzenia ułożonych na ziemi numerów i podnoszenia tego, przed którym właśnie stoi, gdy odezwie się mlaśnięcie językiem. Tę samą sztukę można powtórzyć z kartami, z kostkami do gry i t. p. Można też sztuk tych nauczyć papugę, konia, świnię i t. d., a to wyłącznie za sprawą instynktu. Fakt, że trzeba ćwiczyć zwierzę we wszystkich sztukach cyrkowych częściowo, „po kawałku“, świadczy jasno, iż nie rozumie ono znaczenia i związku scen, w jakich uczestniczy, co jest dowodem, że inteligencya w zwykłej tresurze cyrkowej pozostaje bezczynna.

Zdolność do nauki nie jest zatem w tej postaci, w jakiej się zwykle u zwierząt objawia, oznaką inteligencyi. Istnieje wszakże odrębny sposób nauczania, który p. Hachet-Souplet uważa za świetny probierz inteligencyi. Jest nim posłuszeństwo, wynikające z namowy, z „przekonania“ *(persuasion)*.

W metodzie „przekonywania“ — stosowanej zawsze do gatunku zwierząt wyższych — pozostawia się im zupełnie wolną wolę. Jako środki materyalne działają tutaj: mimika i głos. Wynik pomyślny eksperymentu świadczy o inteligencyi danego zwierzęcia. Stosowanie tej metody zbliża najbardziej zwierzę do jego pana i najprędzej daje temu ostatniemu możność wyczucia inteligencyi danego zwierzęcia. Wszelako w wynikach swoich niezawsze dostarcza ta metoda danych dokładnych, albowiem odegrywa tutaj rolę mnóstwo różnych wpływów i niezawsze

łatwo jest określić właściwe ich znaczenie; nawet po bardzo długiem i starannem badaniu można dać o nich niedokładne tylko pojęcie. Eksperyment staje się tem zawikłańszy, im cel jego jest odleglejszy od koła codziennych przyzwyczajeń zwierzęcia. Mimika nauczyciela nakazuje, głos jego uspakaja lub zachęca; nie mówi wprost zwierzęciu, co ma uczynić, ale „pobudza" je tylko, „prosi usilnie", żeby działało. Na wyniki takiego doświadczenia oddziaływa aż nazbyt często wartość tego, który je przeprowadza; zdarzają się jednakże wypadki bardzo wyraźne, które można przytoczyć jako znamienne przykłady błysków rozumu, wywołanych u zwierząt przy tresowaniu drogą „przekonywania" za pomocą mimiki i głosu.

* * *

Uniwersytety amerykańskie Harvarda i Johna Hopkinsa posiadają także od lat kilku pracownie psychologii doświadczalnej i porównawczej, które dostarczyły już zoologii obfitego żniwa faktów i obserwacyi niemałej wagi. Obie te pracownie postawiły sobie za zadanie rozstrzygnięcie kwestyi, czy kształcenie zwierząt odbywa się pod wpływem daru naśladowania, czy też przypisać je należy jedynie sile instynktu.

Doświadczalna droga badania tej kwestyi narzucała się sama przez się. W tej dziedzinie psychologii zwierząt istnieją jeszcze najniedorzeczniejsze bajki, przyjmowane bez dyskusyi jako pewnik. W niektórych podręcznikach nauki czytania znajdujemy dotąd — pisze p. V. Forbin w „Nature" — typową anegdotę o malarzu, który, chcąc się zemścić na małpie za to, że, dobrawszy się podczas jego nieobecności do pendzla, zamazała mu jego arcydzieło — staje w oknie, udaje, że sobie podrzyna brzytwą gardło i ze złośliwą uciechą patrzy, jak psotne zwierzę nazajutrz tą samą brzytwą istotnie odbiera sobie życie. Rozpowszechnione jest też bardzo mniemanie, że skorpion, w przystępie gniewu przebija się własnem żądłem; dzienniki paryskie zaś opisywały wzruszający rys wierności małżeńskiej skorpiona, który, stwierdziwszy zgon towarzyszki swojej, rozbił się dobrowolnie o skałę na wybrzeżu normandzkiem.

Uczeni amerykańscy, pragnąc oczyścić naukę z balastu danych niczem niepotwierdzonych a uważanych za fakty niezbite, zabrali się do przeprowadzania odpowiednich w tym kierunku doświadczeń. Panuje naprzykład powszechnie mniemanie, że *przyrodzoną* czynnością kota jest łowienie i zabijanie myszy. Oto w jaki sposób dr. Berry z laboratoryum psychologicznego uniwersytetu Harvarda wykazał niedokładność tej teoryi.

Chodziło o przekonanie się, czy młode kocięta, ujrzawszy po raz pierwszy myszy, rzucą się na nie *instynktownie*, czy też przeciwnie, czekać będą, ażeby je nauczono myszy chwytać, zabijać i pożerać. Pierwsza hypoteza była prawdopodobniejsza, a jednakże sprawdziła się druga.

Eksperymentator wybrał kotkę, która tylko co się okociła, strzegł pilnie kociąt od wszelkiego zetknięcia ze światem zewnętrznym tak, że nigdy nietylko nie łowiły, ale nawet nie widziały myszy, a gdy miały pięć miesięcy, tak, że mogłyby już zabić mysz nawet dosyć dużą, zaczął z nimi doświadczenia. Dla większej jasności, określimy matkę literą M, a jej troje małych literami X, Y, Z.

Gdy Z został wprowadzony do klatki, gdzie umieszczono dużą, czarną mysz, zaczął węszyć dokoła, okazując przytem pewien niepokój. Naraz mysz poruszyła się, Z ją spostrzegł, poleciał za nią, uderzył ją łapką i zaczęła się zabawa w chowanego, podczas której kociak ani razu nie mruknął, nie wysunął ani razu pazurów. Po upływie godziny wydobyto mysz z klatki—kociak nie zadrasnął jej nawet.

Z kolei poddani zostali tej samej próbie X i Y i zachowały się zupełnie tak samo, jak ich brat: bawiły się z myszą, jak bawią się wszystkie młode koty z przedmiotem, który się porusza, gdy go dotkną łapką, ale nie usiłowały jej skrzywdzić. Doświadczenie stwierdziło tedy jasno, że żadne z kociąt nie objawiało dążności instynktownej do łowienia, zabijania i pożerania myszy.

Ponowiono je w sześć tygodni później, chcąc zaś przeprowadzić próbę bardziej stanowczą, głodzono koty przez 24 godziny, a następnie zamknięto każdego z nich w klatce z myszą na 20 minut. Zabawa w chowanego stała się natarczywsza i stwierdzono, że kociaki silnie uderzały łapami myszy, które wszakże i tym razem wyszły z próby cało, bez najlżejszego zadraśnięcia.

Teraz chodziło o stwierdzenie, czy koty będą umiały skorzystać z nauk macierzyńskich, czy *nauczą się* łatwo wykonywać szereg czynów, których *instynkt* nakazać im nie zdołał! Oto w jaki sposób urządzono tę ciekawą próbę.

Zamknąwszy kota X w klatce z myszą, pozwolono mu się z nią bawić przez dziesięć minut, poczem wpuszczono matkę M, która natychmiast rzuciła się na zdobycz, zabiła ofiarę i pożarła ją pod bacznem okiem syna. Skoro tylko M skończyła ucztę, wydobyto ją z klatki i wpuszczono nową mysz. Nie troszcząc się o lekcyę macierzyńską, X zaczął się bawić z myszą; w kilka minut póniej wpuszczono też brata Z i oba kotki rozpoczęły na dobre ucieszne harce z żywą zabawką. Wszelako, gdy jeden trzymał ją w łapach, mruczał groźnie, jeśli drugi usiłował mu ją odebrać.

Po pewnym czasie wydobyto z klatki Zeta i zastąpiła go matka, która załatwiła się szybko z myszą. Ale tym razem pozwoliła Xowi wziąć trupa w zęby; kociak wszelako skosztował mięsa dopiero wtedy, gdy M obdarła mysz ze skóry. A skosztowawszy raz, już z wielkim smakiem dokończył uczty.

*(Dok. nast.).*

## Ochrona niedźwiedzi.

W obronie tego rzadkiego obecnie zwierza występuje p. Z. Gelowski w „Kuryerze Litewskim", pisząc:

„Nie wiem, dla jakich powodów niedźwiedź został zaliczony do kategoryi drapieżników i szkodników. Jest to zwierz nadzwyczaj tchórzliwy, łagodny i spokojny. Naturalnie, zaczepiony przez człowieka, staje we własnej obronie. Czy więc stworzenia, które stają we własnej obronie, należy tępić, bez litości, w każdym czasie i wszelkim sposobem?

Niedźwiedź żywi się jagodami i korzonkami, żyje przeważnie w puszczy, kniei niedostępnej dla człowieka, część roku śpi snem letargicznym. I czem że on dokuczył cywilizacyi, która go tak sromotnie prześladuje?

Jest to nic więcej, jak chełpliwość pp. myśliwych, aby módz przy sposobności poszczycić się: „zabiłem w swoim życiu 9—10 niedźwiedzi". Dla tych kilku słów, jadą po kilkadziesiąt mil, płacą miejscowym leśnikom bajeczne sumy i powracają z różczką zwycięstwa.

Lecz w gruncie rzeczy, co za zwycięztwo? Leśnik otropił w barłogu niedźwiedzia, przyjechał „pan", płaci mu stosownie do umowy sumę, która się waha od 50 do 120 rubli, doprowadza myśliwego, i ten bije, jak w kłodę, a następnie wyciągają z barłogu jednego lub dwa niedźwiadki, które matka karmiła. Pytam, jaka tu jest emocya, lub bohaterstwo? Absolutnie żadne.

Ongi gdy nasi przodkowie polowali na niedźwiedzia z oszczepem i kindżałem, było tam dużo ryzyka i odwagi, lecz dziś wobec sztucerów, które biją na 400 metrów i kul ekspresowych — jest to zabawka.

Bezlitosne tępienie niedźwiedzi, jest to nic więcej, jak chęć korzystania ze sławy naszych przodków. Nie, szanowni panowie, polować z oszczepem, a nowożytnym sztucerem, to nie do porównania.

Wiem, że niektórzy z myśliwych, a w szczególności ci, których gabinety udekorowane są skórami i manekinami z niedźwiedzi, zarzucą mi niewłaściwość moich poglądów, zaczną mi przytaczać fakty, że w tej miejscowo-

ści niedźwiedź babę, zbierającą grzyby, rozerwał, gdzieindziej wieśniakom trawę zjadł, i t. d., lecz są to tylko znane opowiadania myśliwych.

Mam nadzieję, że obywatele na Litwie i Rusi, którzy posiadają w swych lasach tego rzadkiego zwierza, przestaną go tak bezlitośnie tępić, bo zwierz ten jest w przededniu zupełnego zaniknięcia".

## Z żałobnej karty.

Przed paroma tygodniami rozstał się z tym światem **ś. p. Juljan Biesiekierski,** znany w Warszawskiem Kole myśliwych miłośnik polowania, jako jeden z najczynniejszych w swoim czasie Członków założycieli Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Urodzony w 1838 r., najmłodszy syn kasztelana Wincentego Biesiekierskiego z Konecka, na Kujawach,— ś. p. Juljan sposobił się do zawodu rolnika, wstępując w ślady swych przodków od wieków w tamtej okolicy osiadłych.

Gdy w 1863 r. płomienna młodzież poddała się prądom zawieruchy, kraj ogarniającej, ś. p. Juljan pociągnął wraz z innymi i brał czynny udział w powstaniu przy boku Mirosławskiego. Okupił to piętnastoletniem wygnaniem, które przebył w odległym Narymie.

Powróciwszy nabył majętność na Kujawach i pojął za małżonkę Annę z Karnkowskich. Nie wiodło się jednak ś. p. Juljanowi na nowem gospodarstwie, co go też zmusiło do zamieszkania w Warszawie, gdzie przez długi czas urzędował w Zarządzie kolei Wiedeńskiej.

W czasie tej rozmaitej karyery, w której los nie słał mu drogi różami, jedyną jego rozrywką i uciechą było polowanie. Zapalony od lat najmłodszych myśliwy, polując w kraju i w tundrach Syberyjskich, miał wiele doświadczenia w sztuce łowieckiej, a radami swojemi chętnie służył młodszym i mniej doświadczonym myśliwym. Pismo nasze zasilał często swojemi pracami, a gdy tutejszy Oddział Tow. praw. myśl. ogłosił konkurs na napisanie monografii kuropatwy, zająca i sarny, ś. p. Juljan za pracę p. t. „Kuropatwa szara czyli pospolita" dostał pierwszą nagrodę. Napisał również i monografię zająca, która jeszcze drukowana nie była, a która odznaczona została specyalną nagrodą po za konkursem.

Pod koniec życia nie dopisywały mu oczy, co go pozbawiło możności używania strzelby. Gnębiło to strasznie ś. p. Juljana, który niechętnie przyznawał się do tego defektu. Pomimo niepowodzeń losowych ś. p. Juljan był zawsze pogodnego humoru, dopóki początki katastrofy nie przyćmiły mu wzroku. Żywił w ostatnich czasach nadzieję, że operacya przywróci mu możność ujęcia strzelby ponownie. Niestety, nadzieja to już była spóźniona i zanim katarakta do operacyi dojrzała, ś. p. Juljan życie zakończył w d. 10 lipca we wsi Płowce, na Kujawach, i tam pochowany został.

Liczni Jego koledzy—myśliwi i towarzysze wypraw myśliwskich wysłali zbiorową depeszę kondolencyjną wdowie, my zaś tu, kreślimy te słowa z uczuciem serdecznego żalu po stracie kochanego przyjaciela, którego pamięć nigdy wśród nas nie zaginie.

Oby Ci ziemia, którą tak ukochałeś, lekką była!

*J. Z.*

## Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

*Posiedzenie Rady, 20 lipca.* **P. Iłłakowicz prosi o urządzenie miejsca ochronnego na przestrzeni 15 włók w Łaziskach, w pow. puławskim i zatwierdzenie 5 stróżów. Postanowiono przychylić się do prośby p. Iłłakowicza.**

## Drobiazgi myśliwskie.

**Ustawa myśliwska.** Gubernator warszawski wydał polecenie, aby stosownie do artykułu 418 ustawy myśliwskiej, połowa kar, nakładanych przez sądy za pogwałcenie ustawy tej, była wypłacana strażnikom ziemskim, którzy przyczynili się do wykrycia pogwałceń przepisów.

**Wilki pod Łodzią.** W lasach kraszewskich pomiędzy Łodzią a Koluszkami ukazała się para wilków. Koloniści wsi Kraszew i Wiśniowa Góra, oraz letnicy, tam zamieszkali, są ogromnie tem zaniepokojeni, tembardziej, że wilki wychodzą na pola i porywają gęsi, kaczki i t. d. Trwa to podobno już od 2-ch tygodni.

**Jeszcze o polowaniu na lisa.** Gazeta „Riecz" zamieściła list Jadwigi Zborowskiej, córki skazanego na 8 lat robót ciężkich, 74-letniego starca Knobelsdorfa w głośnej sprawie mozyrskiej o polowanie w cerkwi. W liście tym p. J. Zborowska stwierdza, iż z siedmiu oskarżonych, a następnie tak ciężko skazanych, brało udział w pościgu zaledwie trzech, pozostali zaś o tem nic nie wiedzieli. Lis, uciekając przed goniącymi go myśliwymi, ukrył się pod podłogę starej, opuszczonej, pozbawionej okien, kapliczki unickiej, w której pełno było śniegu. Za lisem wpadł do kapliczki pies. Chcąc uratować psa, myśliwi weszli do kapliczki i, podniósłszy deskę, zrobili w podłodze otwór, wypuszczając psa, w ślad za którym wyskoczył lis. Lisa natychmiast zabito. Gdy się to działo, Knobelsdorf o ośm wiorst od miejsca wypadku polował na zające. Dalej p. J. Zborowska pisze, że proces odbywał się przy drzwiach zamkniętych. Sąd przysięgłych składał się z włościan prawosławnych i nie wziął pod uwagę zeznań 30 świadków, wezwanych przez obronę, którzy dowiedli „alibi" Knobelsdorfa; oparł zaś swój wyrok na zeznaniach dyaka, który podżegany przez osoby trzecie, całą tę sprawę po latach czterech (polowanie odbyło się w styczniu 1906 roku) wydobył z pyłu zapomnienia.

**Nauka strzelania w szkołach średnich.** Praska *„Bohemia"* donosi, że z przyszłym rokiem szkolnym w gimnazjach, szkołach realnych i pokrewnych zakładach naukowych w Austryi wprowadzona będzie nauka strzelania, jako przedmiot nieobowiązkowy. Najpierw ma być rozpoczęta ta nauka w nadchodzącem półroczu w VII i VIII klasie gimnazyów i VI i VII klasie szkół realnych. W zimie odbywać się będzie nauka strzelania w salach gimnastyki z pokojowego karabinka, w lecie zaś na strzelnicach wojskowych ostrymi nabojami. Naukę trzelania pobierać będą uczniowie pod kierunkiem oficera-instruktora. Uczęszczanie na tę naukę będzie pozostawione chęci uczniów i nie będzie podlegało klasyfikacyi.

**Malarstwo myśliwskie.** Franciszek Józef w tych dniach odwiedził wystawę łowiecką w Wiedniu — po raz już siódmy z rzędu. Jest to znacznie więcej, aniżeli wymaga obowiązek królewski. Tem lepiej dla Wiednia i dla wystawy łowieckiej, bo te wizyty cesarskie stanowią dla niej reklamę, z którą żadna inna nie może iść w porównanie. Przy tej sposobności austryacki cesarz obejrzał pilniej obrazy, poświęcone tematom myśliwskim i o modernistycznych tworach wyraził następującą uwagę:

— Czy ci panowie śmieją się z nas, czy też sami wierzą w to, co malują?

Odpowiedzieć na to pytanie nie byłoby rzeczą łatwą.

**Uroczystości strzeleckie w Swarzędzu.** Od 23 do 26 lipca odbywał się w Swarzędzu, w pobliżu Poznania, 29 zjazd bractw strzeleckich marchijsko-poznańskich. Swarzędz jest miasteczkiem przeważnie polskiem. Poczyniono ogromne przygotowania na przyjęcie kilkuset strzelców. Z samego Poznania wzięło udział w uroczystościach przeszło 200 członków bractwa. W sobotę o 6-ej rozpoczęły się uroczystości posiedzeniem zarządu związkowego, a w godzinę później naznaczone było zebranie delegatów. W niedzielę rano o 6-ej odegraną została na ulicach pobudka. Przed południem przyjmowano zjeżdżających gości, a o kwadrans na drugą wspólny pochód przez miasto

do miejsca uroczystościowego, gdzie rozpoczęło się strzelanie równocześnie na 36 strzelnicach, a skończyło się we wtorek o wpół do szóstej po południu. Z kasy związkowej zakupiono 30 podarków; prócz tego było 65 podarków z miasta Swarzędza i wschodniego powiatu poznańskiego oraz od poszczególnych giełd strzeleckich.

**Jaskółki giną.** Smutne wiadomości nadchodzą z Włoch, Hiszpanii i Francyi. Oto w tym roku w całej Francyi nie zauważono ani jednej jaskółki, to samo we Włoszech. Jaki jest powód tego wymierania tych ślicznych ptasząt? Jedni uczeni przypuszczają, że jakaś choroba, jakaś zaraza, która je zmiata. Drudzy, że ludzie je tak wyniszczyli, mianowicie we Włoszech, gdzie łowią je sieciami i tysiącami zabijają. W każdym razie od egzystencyi jaskółek zależy egzystencya rodzaju ludzkiego, bo jaskółki niszczą miliony much i komarów. Od komarów zaś zależy rozmnażanie się u nas malaryi, od much zaś rozmnażanie się tyfusu, raka, szkarlatyny, dyfteryi, ospy czarnej i t. d. Im więcej much i komarów, tem większa śmiertelność ludzi, im więcej więc jaskółek, tem mniej much i komarów, a więcej ludzi. Tymczasem właśnie liczba jaskółek stale się zmniejsza, a w tym roku tak raptownie zmniejszyła się w Europie, że przeraziło to uczonych i przyrodników. Należałoby więc, żeby nasi ziemianie po wsiach starali się otoczyć jaskółki jaknajwiększą troskliwością.

**Pies za trumną króla Edwarda.** W orszaku pogrzebowym Edwarda VII kroczył ulubiony pies Cezar, fox-terrier. Królowa Aleksandra, znając jego przywiązanie do pana, poddała królowi Jerzemu projekt prowadzenia psa za konduktem. Obecny król, wielki miłośnik zwierząt, tak jak i jego rodzice, zgodził się chętnie na tę myśl. Tłumy patrzyły ze wzruszeniem na kroczących za trumną ulubieńców zmarłego: wierzchowca Kildare i psa Cezara. Opiekuje się nimi obecnie królowa Aleksandra.

**Klęska gołębia.** 5000 gołębi pocztowych zabitych przez burze! Dnia 22 lipca, w piątek, puszczono w Nantes (we Francyi) około godziny pół do 5 rano 6 tysięcy gołębi pocztowych do Anglii. Jak donoszą, zniszczyła burza i huragany nie mniej jak 5,000 a z 1000-ca sztuk część się wróciła, inne szczęśliwie przybyły do celu.

**Dwieście wściekłych psów.** W prowincyi włoskiej Lecce szerzy się od tygodnia wścieklizna wśród psów; liczbę zarażonych zwierząt oceniają na 200. Kilkadziesiąt psów już zastrzelono, inne błąkają się, roznosząc zarazę. Około 160 pokąsanych osób umieszczono pod obserwacyą lekarską. Władze zamierzają urządzić formalną wyprawę na wściekłe zwierzęta, z pomocą wojska i żandarmeryi.

**Dramat w klatce.** W cyrku Charlesa w Trewirze, podczas występu panny Charles z 14-tu lwami berberyjskimi, jeden z nich rzucił się na pogromczynię i poranił jej łapą twarz, oraz piersi. Śród publiczności, przyglądającej się widowisku, powstał popłoch, uspokojono się jednak, skoro dyrektor cyrku wpadł do klatki i wyniósł z niej zalaną krwią córkę.

**Psy zagrożone.** Jak wiadomo, psy w Konstantynopolu używają zupełnej wolności, włócząc się w stanie na pół dzikim po ulicach i po dworcach. Od setek lat mnożą się i zdychają te psy w przeróżnych norach, a w nocy ogromne ich stada wypełniają szczekaniem i skowytaniem ciszę nocną. Obecnie zarząd miasta, pod parciem postępu, nakazał wyłapywać te psy nocną porą. Ponieważ muzułmańscy mieszkańcy Konstantynopola uważają owe psy za nietykalne, więc nie są one zabijane, lecz umieszczane gromadnie w ogrodzeniach, które utworzono w rowach fortecznych. Tam psy żywione są kosztem miasta. Czy długo to będzie trwać? Utrzymywanie setek tysięcy nieustannie mnożących się psów jest niepotrzebnym ciężarem dla miasta, a zresztą zabraknie wreszcie miejsca dla nich. Albo więc zostanie przywrócony *status quo*, albo psy będą zabijane. Kto zwycięży — stara, czy młoda Turcya?

**500,000 ft. szterl. na łowy.** Co roku pół miliona funtów szterlingów kosztują polowania w Irlandyi. Jest ona zaopatrzona w olbrzymie sfory psów myśliwskich: (2800 par różnych gatunków); koni, używanych do polowania liczy ogółem 450, koszta ich utrzymania wynoszą 65,000 ft. rocznie. Koszta polowań dochodzą rocznie do 375,000 ft.. Połączone królestwa: Irlandya, Szkocya i Anglia wydają ogółem 8.500,000 ft. na łowy.

**Sztuka kochania u zwierząt** — pisze dr. G. Roux w dwutygodniku paryskim „La Revue“ — ma te same sposoby ujawniania się, co u człowieka. Przechodzi przez całą skalę stopniowania — od poetycznej, tkliwej przyjaźni turkawek, do gorącej miłości leśnej zwierzyny. Miłość, zwłaszcza w swych najsilniejszych uniesieniach, nie jest wyłącznym przywilejem ludzkich porywów płciowych. Zwierzę odczuwa je z taką samą, niepokonaną namiętnością. Obawy, że upragniona samica ma upodobanie do innego, powodują zacięte, kończące się tragicznie, bitwy. Poeci i malarze skreślili obrazy walk zaciętych między dwoma jeleniami, których szkielety znajdowano w głębi lasu, splątane w śmiertelnym uścisku. Tak samo i wieloryby, podniecone miłością, staczają walkę taką zażartą, mówi Lacépède, że bywa, iż rozszarpane, toną bezżycia. Zazdrość u zwierzęcia dochodzi szybciej do wybuchu, niż u człowieka. Jenner Weir potwierdza uczynioną już przez Darwina obserwacyę o kanarku; jeśli, zaniknięty ze swoją kanarzycą w klatce, znajdzie się przypadkiem przed zwierciadłem, mniema, że to nagle rywal zjawił się, by mu spokój zakłócić. I wówczas ogarnia go gniew gwałtowny, piórka jego drgają, poruszają się, najeżone, barwa ich nagle się zmienia, jak gdyby kanarek pobladł. Trzeba klatkę przenieść na inne miejsce, by uchronić ptaka niejako od ataku epileptycznego. Weir dodaje, że niektóre samce muszą mieć przeświadczenie, iż opierzenie ich wywiera wrażenie na samiczki, albowiem gładzą zawsze piórka swoje za zbliżeniem się towarzyszek. Kanarek, który nagle spostrzega obraz swój w zwierciadle i mniema, że ma rywala, zaczyna od tego, mówi ten sam przyrodnik, że się kryguje, jak uczyniłby człowiek zakochany wobec współzawodnika, nie chcąc być zaćmionym. Samiczki, ze swojej strony, uciekają się do rozmaitych sztuczek, by podbić i utrzymać przy sobie samców. Umieją podniecać w nich pożądliwość. Z wyrafinowaną zalotnością przeciwstawiają ich uniesieniom pogardę istotną, lub udaną.

* *

**Myśliwy XX wieku.**

— Zabiłem jakiegoś zwierza... Trzeba zobaczyć w podręczniku Zoologii, do jakiego gatunku on należy i jak się nazywa.

*

* *

**Na polowaniu.**

Myśliwy (pędząc zdyszany): Chłopcze, czy nie widziałeś czasem, jak zając tędy przebiegł?

— Widziałem.

— Dawno?

— Będzie rok temu.

## Treść Nr. 15 „Łowca Polskiego“.

O ciśnieniu gazów i pomiarach jego siły. — O strzelaniu do gołębi podług kap. *A. Money'a*, (ciąg dalszy) — Ze wspomnień starego myśliwego, *K. Dębicki*, (dok. nast.). — Jeszcze o bobrach. — Przechowywanie jaj. — Poskramianie dzikich zwierząt. — Ochrona niedźwiedzi. — Z żałobnej karty: ś. p. Juljan Biesiekierski. — Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa. — Drobiazgi myśliwskie: (Ustawa myśliwska). (Wilki pod Łodzią). (Jeszcze o polowaniu na lisa). (Nauka strzelania w szkołach średnich). (Malarstwo myśliwskie). (Uroczystości strzeleckie w Swarzędzu). (Jaskółki giną). (Pies za trumną króla Edwarda). (Klęska gołębia). (Dwieście wściekłych psów). (Dramat w klatce). (Psy zagrożone). (500.000 ft. szterlingów na łowy). (Sztuka kochania u zwierząt). — Humor.

W felietonie: Z pamiętnika, *Henryk Rudzki* (c. d. n.).

Ilustracya. Na błotach.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

**W Warszawie:** rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

**Z przesyłką pocztową:** rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

**Zagranicą:** rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer „Łowca Polskiego“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi „Łowca Polskiego“ w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy: **Smolna 40, w Warszawie.**

# OGŁOSZENIA.

Jako odbitka z „Łowca Polskiego“

wyszło z druku dzieło

## OBERLAENDERA

p. t.

# UKŁADANIE WYŻŁÓW.

Dzieło Oberlaendera, zawierające **szczegółowy i wyczerpujący opis układania wyżłów,** cieszy się niemal wszechświatową sławą, zwłaszcza na kontynencie. Między innemi, jako dowód popularności tej pracy może posłużyć fakt, że Francuzi, zazwyczaj niepozwalający sobie imponować Niemcom, w swoich pismach myśliwskich, piszą o tresurze psa, często jednak powołują się na Oberlaendera, jako powagę uznaną.

Jakiego powodzenia doznało to dzieło w samych Niemczech, dowodzi, że pierwsze jego wydanie ukazało się 1894 r., a w roku 1905 wypuszczono już w świat wydanie piąte, czyli że w ciągu 9 lat niespełna rozeszło się 23,000 egzemplarzy tej książki.

Wydając tłómaczenie tego dzieła, mniemamy, że spełniamy rzecz pożyteczną. Z V uzupełnionego i poprawionego przez autora wydania usunęliśmy tylko obszerne przedmowy, pisane w tonie polemicznym, oraz szczegóły dotyczące anatomicznej budowy wyżła, bowiem polski czytelnik znajdzie je gdzieindziej („Pies zdrowy i chory“ d-ra O. Hilfsreicha).

Dzieło to stanowi **wielce pożyteczny podręcznik przy układaniu wyżła,** tembardziej że obecnie nie posiadamy w handlu księgarskim żadnej pracy w tym kierunku.

**„UKŁADANIE WYŻŁÓW“** stanowi duży tom o 460 stronicach ścisłego druku, z licznemi ilustracyami w tekście.

**Cena 3 rub.**

z przesyłką pocztową **3** rb. **25** kop.

Dzieło to nabyć można w Redakcyi „Łowca Polskiego“ (Nowy-Swiat 35), w Magazynie Warszawskiej Spółki Myśliwskiej (Królewska 17), w księgarni Gebethnera i Wolffa, K. Treptego i we wszystkich innych.

**Nabywający to dzieło bezpośrednio w Redakcyi „Łowca Polskiego“ kosztów przesyłki nie ponoszą.**

Nowi prenumeratorowie „Łowca Polskiego“, którzy nie posiadają początku tego dzieła, **za bezpośredniem** zgłoszeniem się do Redakcyi „Łowca Polskiego“ otrzymają całą książkę za połowę ceny.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego“ (Nowy-Swiat 35).

# Nad Nilem Niebieskim

przez

Jana Sztolcmana,

z ilustracyami

Józefa Rapackiego.

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu Józefa hr. Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej mało jeszcze znanej sportsmenom, krainie

Wydanie ozdobne, z kolorowaną okładką.

**Cena rb. 5.**

**„Prenumeratorowie Łowca Polskiego“**

mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Nowy-Świat 35) po **4** rub.

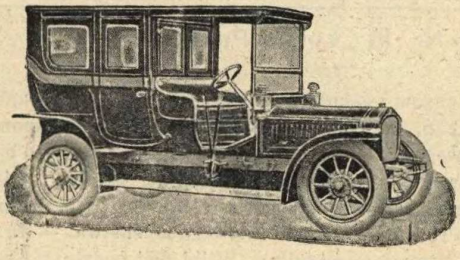

# GARAGE CENTRALE

# de Dion Bouton

40 Nowy-Świat 40 tel. 94-00. **Geyer & C-o** 40 Nowy-Świat 40 tel. 94-00.

Niniejszem mamy zaszczyt zawiadomić, że otwarty został urządzony podług najnowszych wymagań techniki, największy w kraju Garage, posiadający kilkadziesiąt obszernych i wygodnych boksów i że do takowych przyjmujemy samochody na przechowanie. Przy garage'u urządziliśmy wzorowy zakład reparacyjny.

Sprzedaż samochodów osobowych, handlowych, towarowych i wszelkich innych typów firmy de Dion Bouton.

Jeneralna reprezentacya aeroplanów Farmana na Cesarstwo i Królestwo Polskie.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** **Druk „Drukarni Polskiej“ (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.**